

# Najdłuższa noc

Clark Higgins Mary



calibre 0.9.27

**MARY HIGGINS CLARK**

**NAJDŁUŻSZA NOC**

**PRZEŁOŻYŁA ANNA MARIA NOWAK**

**TYTUŁ ORYGINAŁU: ALL THROUGH THE NIGHT**

Pewnego grudniowego wieczora młoda dziewczyna imieniem Sondra zostawia swą nowo narodzoną córeczkę na progu plebanii przy kościele Świętego Klemensa na Manhattanie. W tym samym czasie drobny złodziejasek Lenny Centino kradnie z kościoła zabytkowy srebrny kielich z brylantem. Zarówno dziecko, jak i bezcenne dzieło sztuki znikają bez śladu... Mija siedem lat. Kilka tygodni przed Bożym Narodzeniem umiera bogata staruszka mieszkająca w parafii Świętego Klemensa - Bessie Durkin Maher, a para jej lokatorów zamierza w majestacie prawa zagarnąć schedę po zmarłej. Do akcji wkracza sympatyczna Elwira Meehan, niegdyś doskonała sprzątaczką, obecnie milionerka, która uwielbia rozwiązywać zagadki kryminalne. Okazuje się, że wydarzenia sprzed lat i obecna sprawa mają ze sobą wiele wspólnego.

Dedykuję Johnowi - z wyrazami miłości oraz biskupowi Paulowi G. Bootkoskiemu - z zapewnieniami o serdecznej przyjaźni

# Podziękowania

Kiedy mój wydawca, Michael Korda, zadzwonił z propozycją napisania książki na Boże Narodzenie, usłyszał w odpowiedzi:

- Michael, odkładam słuchawkę.
- Elwira i Willy - rzucił błyskawicznie.

Zastanowiłam się chwilę. Elwira i Willy występowali w kilku moich książkach, ostatnio pisałam o nich rok temu i zdążyłam się za nimi stęsknić.

„Najdłuższa noc” to efekt tamtej rozmowy telefonicznej. Mam nadzieję, że dobrze będzie się Wam ją czytać. Jak zwykle muszę wyrazić wdzięczność

Michaelowi Kordzie, który namówił mnie do jej napisania. Bóg zapłać Tobie, Michaelu, a także Chuckowi Adamsowi, za to, że mnie uczyliście, pomagaliście mi i wskazywaliście drogę przez tę najdłuższą noc.

Wielkie podziękowania niech przyjmą także zastępca dyrektora Copy Editing, Gypsy da Silva, oraz Carol Bowie; należą się one również Samowi Pinkusowi, który wyręczył mnie w zgłębianiu tajników prawa rodzinnego i zasad działania opieki społecznej; a także moim krytykom: Lisi Cade i córce, Carol Higgins Clark - za ich zawsze celne komentarze oraz wskazówki. I wreszcie dziękuję mojemu mężowi, Johnowi Conheeneyowi.



# Prolog

Do Bożego Narodzenia pozostały jeszcze dwadzieścia dwa dni, ale w tym roku Lenny wcześniej zaczął świąteczne polowanie. Spokojny, że nikt nie wie o jego obecności, tkwił bez ruchu, tak cicho wciągając powietrze, że z trudem słyszał własny oddech. Z konfesjonału obserwował księdza Ferrisa, który właśnie zamykał kościół na noc. Z pogardliwym uśmieszkiem na ustach niecierpliwie czekał, aż kapłan sprawdzi boczne wejścia i zgasi światło w kaplicy. Skulił się, kiedy proboszcz odwrócił się i ruszył boczną nawą, co oznaczało, że przejdzie obok niego. Zaklął w duchu, gdy zaskrzypiała deska w konfesjonale. Przez szparkę w zasłonie widział, jak duchowny zatrzymał się, przechylił głowę i nasłuchiwał.

Ale po chwili, uspokojony, ruszył dalej, do kruchty. Zaraz potem zgasło światło przy głównym wejściu, drzwi otworzyły się i zamknęły. Lenny głośno odetchnął. Został sam w kościele świętego Klemensa przy Sto Trzeciej Zachodniej na Manhattanie.

Sondra stała w bramie kamienicy naprzeciwko kościoła. Budynek właśnie remontowano i prowizoryczne rusztowanie osłaniało ją przed wzrokiem przechodniów. Nim zostawi dziecko, wolała się upewnić, że ksiądz Ferris opuścił kościół i wrócił na plebanię. Od paru dni uczęszczała na nabożeństwa u świętego Klemesa i poznała zwyczaje proboszcza. Wiedziała też, że w okresie adwentu będzie prowadził nabożeństwo różańcowe o siódmej.

Słaniała się na nogach z napięcia i zmęczenia - zaledwie parę godzin temu wydała na świat dziecko i piersi nabrzmiały jej od siary, poprzedzającej pojawienie się mleka. Dziewczyna oparła się o futrynę. Słyszając kwilenie spod niedokładnie zapiętego płaszcza, instynktownym ruchem, znanym każdej matce, zaczęła kołysać maleństwo. Na małej kartce spisała podstawowe informacje, które mogła spokojnie wyjawic: „Proszę, oddajcie moją córeczkę pod opiekę dobrej, kochającej rodziny. Jej ojciec jest z pochodzenia Włochem, moi dziadkowie urodzili się w Irlandii. Nic mi nie wiadomo o żadnych chorobach dziedzicznych u żadnej ze stron, czyli malutka powinna być zdrowa. Kocham ją, ale nie mogę się nią zaopiekować. Gdyby kiedyś o mnie pytała, pokażcie jej tę kartkę. Powiedźcie też, że za najszcześniejsze chwile w życiu uważam te, kiedy tuliłam ją w ramionach po urodzeniu. W owym krótkim czasie liczyłyśmy się tylko my dwie, cały świat gdzieś zniknął”. Tę kartkę zamierzała zostawić przy dziecku.

Sondrze ścisnęło się gardło na widok wysokiej, lekko przygarbionej sylwetki księdza. Wyszedł z kościoła i skierował się prosto na plebanię. Już czas.

Kupiła córeczce wyprawkę: parę koszulek, śpioszki, buciki i bluzę z kapturem. Dołożyła jeszcze do tego butelki z mlekiem i jednorazowe pieluchy. Opatuliła noworodka w dwa kocyki, owinęła grubym wełnianym szlafrokiem, ale ponieważ wieczór był chłodny, wzięła też brązową papierową torbę. Gdzieś wyczytała, że papier stanowi dobrą osłonę przed chłodem. Oczywiście maleństwo nie pozostanie długo na mrozie - tylko tyle czasu, ile zajmie Sondrze dotarcie do telefonu i powiadomienie księdza.

Wolno rozpięła płaszcza, starając się jak najmniej poruszać dziecko i pamiętając, by uważać na

główkę. W słabym świetle latarni przyjrzała się buźce noworodka.

- Kocham cię - wyszeptała z zarem. - Zawsze będę cię kochać.

Dziecko odwzajemniło jej spojrzenie, po raz pierwszy w pełni otwierając oczka. Piwne tęczówki spotkały się wzrokiem z niebieskimi. Długie, ciemnoblond włosy musnęły jasne kędziorki, wijące się na małym czółku. Drobną usteczką wydeły się i poruszyły w poszukiwaniu matczynej piersi.

Sondra przytuliła główkę dziewczynki do szyi, musnęła ustami delikatny policzek, powiodła dłonią po plecach i nóżkach maleństwa. Potem zdecydowanym ruchem wsunęła noworodka do torby, sięgnęła po używany wózek, stojący obok i wzięła go pod pachę.

Odczekała, aż grupa przechodniów minie jej kryjówkę i rozejrzała się wokół po ulicy. Samochody miały czerwone światło, ale znikąd nie nadchodzili piesi.

Sznur zaparkowanych po obu krawężnikach zasłonił dziewczynę przed wzrokiem ciekawskich, kiedy pobiegła na drugą stronę ulicy do schodów plebanii. Tam jednym susem pokonała trzy stopnie i rozłożyła wózek. Zablokowała kółka, wsunęła dziecko pod budkę i zostawiła obok tobołek z ubraniami oraz butelkami. Przyklęknęła, by po raz ostatni spojrzeć na córeczkę.

- Do widzenia - szepnęła.

A potem wstała i szybko zbiegła po schodach na chodnik, kierując się w stronę Columbus Avenue.

Lenny szczyił się, że obrobienie kościoła zajmowało mu niecałe trzy minuty. Nigdy nie wiadomo, może zamontowali cichy alarm, myślał, otwierając plecak i wyjmując latarkę. Skierował wąski strumień światła na podłogę i zaczął zwyczajny obchód. Najpierw sprawdził skrzynkę z datkami dla biednych. Od pewnego czasu hojność wiernych spadła, ale i tak łup okazał się lepszy niż w innych kościołach: jakieś trzydzieści, czterdzieści dolarów.

Rozbicie kasetek pod świecami wotywnymi przyniosło najlepsze - w porównaniu z ostatnimi dziesięcioma kościołami - efekty. Pod figurami świętych stało siedem skrzynek. Lenny szybko wyłączył zamki i zgarnął gotówkę.

W ubiegłym miesiącu kilkakrotnie był tu na mszy, żeby zbadać teren. Ksiądz używał zwyczajnego kielicha i pateny, więc Lenny nie tracił czasu na włamywanie się do tabernakulum - tam nie znajdzie niczego ciekawego.

Zresztą niechętnie by to zrobił. Parę lat w szkółce parafialnej pozostawiło swoje piętno i pewnych rzeczy wolał unikać. Dlatego też czasem gryzło go sumienie, gdy obrabiał kościoły.

Ale za to bez cienia wyrzutów sięgnął po to, co najbardziej go zainteresowało w tym kościele: srebrny kielich z brylantem w kształcie gwiazdy. Należał do Josepha Santoriego, który przed stu laty założył parafię świętego Klemensa; kielich stanowił jedyny skarb w tym zabytkowym miejscu.

Nad mahoniową szafką w prawej części prezbiterium wisiał portret

Santoriego. Szafka była bogato zdobiona, krata miała równocześnie ochraniać drogocenny przedmiot i podkreślać jego urodę. Po jednej z mszy Lenny podszedł i przeczytał umieszczoną pod nią tablicę.

Po święceniach, otrzymanych w Rzymie, ksiądz - a później biskup - Santori dostał ten kielich od hrabiny Marii Tomicelli. Kielich znajdował się w jej rodzinie od pokoleń i pochodził z okresu wczesnego chrześcijaństwa. W wieku czterdziestu pięciu lat Joseph Santori został wyświęcony na biskupa i skierowany do diecezji Rochester. Po ukończeniu siedemdziesiątego piątego roku życia zrezygnował z czynnej posługi i wrócił do parafii świętego Klemensa - by do ostatnich chwil życia służyć biednym i zmożonym wiekiem. Biskup Joseph Santori powszechnie cieszył się opinią

świętego i po jego śmierci wystosowano do Stolicy Apostolskiej prośbę o beatyfikację, która nadal pozostaje aktualna.

Brylant niewątpliwie przyniesie trochę grosza, pomyślał Lenny, wnosząc do góry siekiere i dwoma potężnymi uderzeniami strzaskał zawiasy. Otworzył kratę i chwycił kielich. W obawie, czy nie uruchomił cichego alarmu, błyskawicznie pobiegł do bocznych drzwi kościoła, otworzył je i wypadł na zewnątrz.

Kiedy skręcił na zachód, w stronę Columbus, zimne powietrze szybko wysuszyło pot, który pokrywał mu twarz i plecy. Żeby tylko dostać się do alei, tam zniknie w tłumie przechodniów robiących zakupy. Gdy jednak

Lenny mijął plebanię, ciszę rozdarło wycie policyjnych syren.

Dwie pary małżeńskie podążały w tym samym kierunku, ale bał się podbiec i przyłączyć do tych ludzi. Natychmiast by się zdradził. Wtedy dostrzegł przy stopniach plebanii składany wózek. Nie minęła chwila, a już sprowadził go na chodnik. W wózku było tylko parę toreb z zakupami.

Wrzucił swój plecak na spód i szybkim krokiem podążył za przechodniami. Kiedy znalazł się tuż za nimi, zwolnił tempo i zaczął spokojnie pchać wózek przed sobą.

Radiowóz przemknął obok grupki idących i z piskiem opon zatrzymał się pod kościołem. Na Columbus Avenue Lenny przyspieszył kroku, nie obawiając się już, że zwróci na siebie uwagę. W taki lodowaty wieczór wszyscy się śpieszyli, by jak najszybciej dotrzeć do domu. Wtopił się w tłum. Czemu ktoś miałby zwracać uwagę na trzydziestoletniego mężczyznę średniego wzrostu, o ostrych rysach twarzy, w czapce i zwykłej, ciemnej kurtce, pchającego przed sobą tani, podniszczony wózek?

Budka, z której zamierzała telefonować Sondra, okazała się zajęta. Szalejąc z niepokoju i czując, jak serce rozdziera jej strach o porzucone dziecko, dziewczyna zastanawiała się, czy przerwać rozmowę mężczyźnie w mundurze ochroniarza. Mogłaby wyjaśnić, że to pilna sprawa.

Nie mogę, myślała zrozpaczona. A nuż przypomni sobie o mnie, gdy jutro pojawi się w prasie wzmianka o podrzutku, i pójdzie na policję?

Załamana, schowała ręce do kieszeni i obracała w palcach monety, które należało wrzucić do automatu, oraz kartkę z numerem telefonu plebanii. Niepotrzebną, bo знаła go na pamięć.

Był trzeci grudnia, toteż w witrynach sklepów i oknach restauracji

Columbus Avenue wisały już bożonarodzeniowe światelka i dekoracje. Sondrę minęła para zakochanych, trzymających się za ręce. Uśmiechali się do siebie, a ich twarze jaśniały szczęściem. Dziewczyna wyglądała na rówieśnicę Sondry - osiemnastolatkę, choć ona sama czuła się zdecydowanie starsza i daleko jej było do beztrudnej radości, jaką promieniała ta para.

Ochłodziło się teraz. Czy dziecko jest wystarczająco dobrze otulone? - zastanawiała się z obawą. Na moment przymknęła oczy. Boże, spraw, żeby ten facet skończył gadać, modliła się gorąco. Muszę natychmiast zadzwonić.

Chwilę potem rozległ się dźwięk odkładanej słuchawki. Sondra odczekała, aż mężczyzna parę kroków odejdzie, dopiero wtedy wpadła do budki, wrzuciła monety i wystukała numer.

- Parafia świętego Klemensa - rozległ się głos starszego mężczyzny.

Pewnie to ów staruszek, który czasem odprawiał mszę.

- Mogę prosić księdza Ferrisa? To pilne.

- Rozmawia pani z księdzem Daileym. Mogę go jakoś zastąpić? Ksiądz proboszcz rozmawia z



policją, mamy tu poważny problem.

Dziewczyna cicho odłożyła słuchawkę. A więc znaleźli już dziecko i malutkiej nic nie grozi; ksiądz Ferris dopilnuje, by umieszczono ją w dobrej rodzinie.

Godzinę później Sondra siedziała w autobusie do Birmingham w stanie Alabama, gdzie studiowała muzykę; grała na skrzypcach i miała talent, a zachwyceni profesorowie wróżyli jej niezwykłą karierę w najlepszych salach koncertowych świata.

Dopiero w mieszkaniu swej starej ciotki Lenny usłyszał ciche kwilenie noworodka.

Zaskoczony spojrzął do wózka. Zauważył, że papierowa torba się porusza. Rozerwał ją szybko i zdumiony wpatrywał się w maleńką kukielkę. Nie dowierzając własnym oczom, odczepił od kocyka kartkę, przeczytał ją i zaklął cicho.

- To ty, Lenny? - zawołała ciotka z sypialni, mieszczącej się na końcu wąskiego korytarza.

Powitanie nie brzmiało zachęcająco i zostało wypowiedziane z silnym akcentem, zdradzającym włoskie pochodzenie.

Lilly Maldonado przeszła przez korytarz i wkroczyła do salonu. Mimo skończonych siedemdziesięciu czterech lat wyglądała i poruszała się, jakby miała ich o dziesięć mniej. We włosach, ściągniętych w kok, widniały jeszcze ciemne pasma; duże, brązowe oczy były pełne życia; choć niska i pulchna, poruszała się pewnym, szybkim krokiem.

Wkrótce po zakończeniu drugiej wojny światowej wraz z młodszą siostrą, matką Lenny'ego, wyemigrowała z Włoch do Stanów Zjednoczonych.

Była wykwalifikowaną szwaczką, wyszła za krawca ze swej rodzinnej wioski w Toskanii. Otworzyli maleńki zakład w dzielnicy Upper West Side i pracowali wspólnie aż do chwili, gdy pięć lat temu męża zabrała śmierć. Teraz Lilly szła w domu albo chodziła do wiernych klientek, gdzie za śmieszne pieniądze dokonywała przeróbek.

Ale - jak żartowały między sobą klientki - w zamian za niskie ceny musiały ze współczuciem wysłuchiwać nieskończonych opowieści o niesfornym synu jej zmarłej siostry, Lennym.

Lilly klękała obok kupki szpilek, nie spuszczać uważnego wzroku z materiału, zaznaczała kredą długość spódnicy, po czym z westchnieniem rozpoczynała litanie narzekań.

- Ten mój siostrzeniec... Doprowadza mnie do szału. Od dnia narodzin są z nim wyłącznie problemy. A kiedy chodził do szkoły... Lepiej nie pytajcie!

Wieczne kłopoty z policją. Dwukrotnie siedział w poprawczaku. Czy to go wyprowadziło na prostą? Skąd! Nigdy nie potrafił zagrać miejsca w robocie. Czemu? Moja siostra, a jego matka, świeć Panie nad jej duszą, za bardzo mu pobłażała. Oczywiście, kocham go, w końcu to mój krewniak, ale to nie zmienia faktu, że doprowadza mnie do szału. Jak długo mam się godzić z tym, żeby przyjeżdżał, kiedy mu się zachce? I z czego w ogóle on się utrzymuje? - pytam.

Teraz, po długiej modlitwie do ukochanego świętego Franciszka z Asyżu, Lilly Maldonado podjęła decyzję. Próbowwała wszystkiego - lecz bez skutku. Najwyraźniej nic nie zmieni Lenny'ego, dlatego postanowiła raz na zawsze umyć ręce od opieki nad nim.

Światło w korytarzu było słabe, ale Lilly tak się skoncentrowała na tym, co postanowiła, że nie od razu dostrzegła stojący za mężczyzną wózek.

- Lenny - oświadczyła twardo, zaplótłszy ręce na piersi - poprosiłeś o gościnę na parę dni. Minęły już trzy tygodnie i nie życzę sobie widzieć tu ciebie dłużej. Spakuj swoje manatki i

wyprowadź się, dokąd chcesz!

Donośny, ostry głos ciotki przestraszył wierzące się niemowlę i ciche kwilenie przeszło w lament.

- Co to? - zawołała kobieta.

Wtedy dostrzegła wózek. Jednym ruchem odepchnęła siostrzeńca i zajrzała do środka.

- Coś ty nabroił tym razem? - wykrzyknęła zdumiona. - Skąd wzięłeś to dziecko?

Umysł mężczyzny pracował na pełnych obrotach. Lenny nie chciał się stąd wyprowadzać. Dzielnica była odpowiednia, a mieszkanie z ciotką dawało mu opinię przyzwoitego faceta. Przeczytał kartkę matki noworodka, więc błyskawicznie wymyślił plan.

- To moje, ciociu. Matką jest dziewczyna, za którą szalałem. Wyprowadziła się do Kalifornii i zamierzała oddać małą do adopcji. Nie zgodziłem się, bo chcę ją zatrzymać.

Zawodzenie przeszło w gniewny pisk. Maleńkie piąstki tłukły powietrze. Lilly rozpakowała zawiniątko ułożone obok nóżek noworodka.

- Jest głodne - oświadczyła. - Na szczęście twoja dziewczyna zapakowała mleko.

Wyjęła jedną z butelek i rzuciła ją Lenny'emu.

- Łap, podgrzej.

Wyraz jej twarzy zmienił się, kiedy rozwinęła kocyki, w które była otulona dziewczynka. Podniosła ją i kołysała w ciepłych, niosących ukojenie ramionach.

- Śliczna, bella, jak mama mogła cię porzucić? - Spojrzała na siostrzeńca. - Jak się nazywa?

Ten przypomniał sobie brylantową gwiazdę w podstawie kielicha.

- Nazywa się Gwiazdka, ciociu.

- Gwiazdka... - mruknęła Lilly Maldonado, uciszając płaczące niemowlę. - Czyli po włosku „Stellina”: gwiazdeczka.

Lenny kątem oka obserwował, jak między maleństwem a starzejącą się kobietą rodzi się więź. Nikt nie będzie szukał tej małej, uspokajał się w duchu. W końcu przecież jej nie porwał ani nic takiego. A gdyby nawet władze zaczęły się dopytywać, pokaże kartkę na potwierdzenie, że dziecko porzucono. Pamiętał, że po włosku „babcia” to nonna. Odwrócił się i poszedł do kuchni podgrzać butelkę.

- Gwiazdko, moja córeczko, zapewniłaś mi dom. A sobie znalazłaś nonnę - powiedział w duchu, zadowolony.

Siedem lat później

# Rozdział 1

Willy Meehan ze zmarszczonym czołem pochylał się nad fortepianem, który dostał na sześćdziesiąte drugie urodziny od żony, Elwiry. Ze skupieniem usiłował przeczytać nuty w książce Johna Thompsona: „Podręcznik dla początkujących dorosłych”. Może będzie łatwiej, jeśli sobie zaśpiewam, pomyślał.

- „Niech sen spokojny śni się Dzieciąteczku...” - zaczął.

Jaki piękny głos ma Willy, pomyślała Elwira, wchodząc do pokoju.

„Najdłuższa noc” to jedna z ich ulubionych kolęd, uświadomiła sobie, z czułością spoglądając na męża, z którym przeżyła ponad czterdzieści lat. Z profilu jego podobieństwo do Tipa O’Neilla, legendarnego przewodniczącego

Izby Reprezentantów, stawało się jeszcze wyraźniejsze niż en face. Grzywa siwych włosów, twarz w zmarszczkach, błękitne oczy i ciepły uśmiech sprawiały, że często przechodnie rozpoznawali w nim O’Neilla, choć ten zmarł już wiele lat temu.

Zakochana nadal Elwira uważała, że jej mąż wygląda po prostu cudownie w ciemnoniebieskim garniturze, włożonym na znak szacunku dla zmarłej Bessie Durkin Maher, przy której trumnie zamierzali czuwać. Sama Elwira niechętnie zrezygnowała z granatowej garsonki rozmiar dwanaście, choć pierwotnie zamierzała ją włożyć, i sięgnęła po czarną sukienkę, o rozmiar większą. Wczoraj wieczorem wrócili z rejsu po Morzu Karaibskim, na który wybrali się po Święcie Dziękczynienia. Obfite posiłki, jakie tam pochłaniali, okazały się zabójcze.

- „Anioł Stróż czuwa przy źóbeczku...” - śpiewał Willy, akompaniując sobie na fortepianie.

Nie ulega wątpliwości, że Bóg zesłał nam anioła, pomyślała Elwira i cicho, by nie przeszkodzić mężowi, podeszła do okna, z którego rozciągał się zapierający dech w piersi widok na Central Park.

Zaledwie dwa lata temu Elwira, wówczas sprzątaczką, oraz Willy, hydraulik, mieszkali w Jackson Heights w Queens, w tym samym lokalu, który wynajęli jako nowożeńcy. Elwira padała z nóg po wyjątkowo ciężkim dniu u pani O’Keefe, która uważała, że przepłaca, jeśli sprzątaczką przy odkurzaniu nie przesunęła każdego mebla. Mimo to - podobnie jak w każdą środę i sobotę wieczorem - zasiedli przed telewizorem, by patrzeć, jak piłeczki wskakują do rynienek i ogłaszane są wyniki losowania. Oboje omal nie dostali zawału serca, kiedy jeden po drugim ukazywały się numery, na które stawiali od lat.

Wtedy właśnie uświadomiliśmy sobie, że wygraliśmy czterdzieści milionów dolarów, pomyślała Elwira, nadal nie mogąc wierzyć w ów uśmiech losu. To nie był zwykły uśmiech losu, tylko błogosławieństwo, poprawiła się, podziwiając widok z okna.

Dochodziła za kwadrans siódma, a Central Park czarował urodą białego, świeżo spadłego śniegu,

który niczym puchata pierzyna przykrył drzewa i trawniki. W oddali dekoracje bożonarodzeniowe rozświetlały okolice „Tavern on the Green”. Reflektory samochodów i taksówek poruszających się po krętych ulicach przywodziły na myśl rzeki światła, choć w każdym innym miejscu wyglądałyby po prostu jak pojazdy. Dorożki - stąd niewidoczne, ale na pewno obecne zawsze przypominały opowieści mamy, która w początkach wieku dorastała w okolicach tego parku. Podobnie jak łyżwiarze, wirujący na Wollman Rink, przywoływali wspomnienie, jak sama Elwira wiele lat temu śmigała po tafli St Raymond's na Bronksie przy dźwiękach muzyki organowej.

Po wygranej na loterii, jako posiadacze dwóch milionów rocznie po odprowadzeniu podatku, wprowadzili się do tego luksusowego apartamentu.

Elwira zawsze marzyła, by zamieszkać w sąsiedztwie Central Parku, poza tym mieszkanie stanowiło dobrą inwestycję. Ale mimo wszystko zatrzymali dawne lokum w Jackson Heights, w razie gdyby stan Nowy Jork nagle zbankrutował i przestał im płacić odsetki.

Trzeba przyznać, że Elwira dobrze korzystała z nieoczekiwanego bogactwa. Przeznaczała znaczne sumy na dobroczynność, a równocześnie doskonale się bawiła. Poza tym przeżyła parę niezapomnianych chwil. Wyjechała do kurortu Cypress Point w Pebble Beach i omal nie przypłaciła życiem swego reporterskiego zacięcia. Owo doświadczenie przydało jej się, kiedy zaczęła na stałe współpracować z gazetą „New York Globe”. Potem, co było niejako logiczną kontynuacją wcześniejszych wypadków, dzięki pomocy magnetofoniku, ukrytego w broszce w kształcie słońca noszonej w klapie, rozwiązała liczne zagadki kryminalne i stopniowo zyskała renomę prawdziwego detektywa w spódnicy - choć oczywiście pozostała amatorką.

Willy swoje umiejętności hydrauliczne wykorzystywał teraz jedynie na życzenie najstarszej ze swego rodzeństwa, siostry Kordelii, która opiekowała się chorymi i osobami w podeszłym wieku z Upper West Side na Manhattanie. Zapewniała mu zajęcie przy naprawie zlewów, toalet i kaloryferów w domach podopiecznych.

Przed rejssem uwijał się jak w ukropie, szykując piętro opuszczonego magazynu meblowego, gdzie Kordelia prowadziła sklep z używaną odzieżą.

Miejsce owo nazywało się „Mały Dom” i było nieformalnym ogniskiem opiekuńczym dla dzieci od pierwszej do piątej klasy, których rodzice pracowali.

Tak, upewniła się Elwira, posiadanie dużych pieniędzy to przyjemna rzecz, naturalnie jeśli człowiek nie zapomni, jak się bez nich obywać - a ona i Willy nie zamierzali tego robić. Miło pomagać innym, ale gdyby stracili wszystko, co do grosza, nadal byliby szczęśliwi, pod warunkiem że wciąż pozostaliby razem.

- „...najdłuższą noc...” - zakończył Willy pełnym głosem. - Gotowa, złotko?

- spytał, wstając od fortepianu.

- Naturalnie. - Żona odwróciła się do niego. - Bardzo mi się podobało. Grasz z prawdziwym uczuciem. Inni gonią, byle szybciej skończyć melodię, a to taki śliczny utwór.

Willy uśmiechnął się lekko. Choć gorąco żałował chwili, kiedy powiedział Elwirze, jak bardzo w dzieciństwie żałował, że rodzice nie mogli mu zafundować lekcji gry na fortepianie, teraz odczuwał niezwykłą wprost satysfakcję, ilekroć zdołał bezbłędnie wykonać jakąś melodię.

- Grałem tak wolno, bo jeszcze nie potrafię szybko czytać nut - zażartował.

- No, pora iść.

Dom pogrzebowy mieścił się przy Dziewięćdziesiątej Szóstej, tuż przy Riverside Drive. Taksówka wolno kluczyła w gęstwinie uliczek, a Elwira wspominała przyjaciółki Bessie i Kate Durkin - Znała je od lat. Kate pracowała jako sprzedawczyni w sklepie Macy's, a Bessie prowadziła gospodarstwo emerytowanemu sędziemu, który miał chorą żonę.

Gdy małżonka chlebobdawcy umarła, Bessie wręczyła mu wymówienie, ponieważ nie mogła mieszkać pod jednym dachem z obcym mężczyzną bez przyzwolitki.

Po tygodniu sędzia Aloysius Maher poprosił o rękę swą gospodynię i

Bessie, po sześćdziesięciu latach panieństwa, ochoczo przyjęła oświadczyzny. Po ślubie zajęła się przerabianiem jego dużej, ładnej kamienicy w Upper West Side na swój dom.

Po czterdziestu niezwykle harmonijnych latach małżeństwa Willy i Elwira osiągnęli etap, że zanim jeszcze któreś z nich poruszyło jakiś temat, oboje o nim myśleli.

- Bessie doskonale wiedziała, co robi, składając wtedy wymówienie - odezwał się Willy, a jego słowa idealnie współgrały z myślami Elwiry. -

Zdawała sobie sprawę, że musi złapać sędziego, nim inna kobieta zagnie na niego parol, bo wtedy nie miałyby cienia szans. Zawsze traktowała jego dom jak swoją własność i nie zniosłaby, gdyby ją stamtąd wyrzucono.

- Kochała tę kamienicę, fakt - przytaknęła Elwira. - Ale nie zapominaj, że dotrzymała swojej części umowy. Była wzorową gospodynią i gotowała jak anioł. Sędzia nie mógł się doczekać kolejnego posiłku. Sam musisz przyznać, iż dogadzała mu, jak mogła.

Willy nigdy nie przepadał za Bessie Durkin.

- Wiedziała, co robi. Sędzia żył tylko jeszcze osiem lat. Potem Bessie odziedziczyła i dom, i emeryturę, a wtedy zaproponowała siostrze, aby się tu wprowadziła, i od tej pory Kate jej usługiwała.

- Kate to istny anioł - zgodziła się Elwira - ale teraz, po śmierci Bessie, dom przejdzie na nią i będzie miała własny dochód. Bieda nigdy nie zajrzy jej w oczy.

Pocieszona tym optymistycznym stwierdzeniem, popatrzyła w okno.

- Och, Willy, czyż te dekoracje w oknach nie są cudowne? Co za szkoda, że Bessie umarła tuż przed świętami. Przepadała za Bożym Narodzeniem.

- Jest dopiero czwarty grudnia - zauważył Willy. - Przeżyła Święto

Dziękczynienia.

- Owszem - ustąpiła Elwira. - Cieszę się, że wraz z nimi spędziliśmy ten dzień. Pamiętasz, jak jej smakował indyk? Zjadła go z prawdziwym apetytem.

- Podobnie jak całą resztę dań - dodał sucho mąż. - Jesteśmy na miejscu.

Kiedy taksówka dotarła na miejsce, pracownik Domu Pogrzebowego

Reading otworzył drzwi wejściowe i przyciszonym głosem poinformował, że

Bessie Durkin Maher spoczywa we wschodniej sali. Elwira i Willy dostojnym krokiem szli przez cichy korytarz. Zewsząd otaczała ich mocna, słodka woń kwiatów.

- Nie znoszę domów pogrzebowych - oświadczył Willy. - Zawsze pachnie w nich zwiędłymi goździkami.

We wschodnim pomieszczeniu przyłączyli się do grupy trzydziestu żałobników, wśród których znajdowali się Vic oraz Linda Bakerowie, małżeństwo wynajmujące mieszkanie na najwyższym piętrze kamienicy Bessie. Stali przy trumnie, obok siostry zmarłej, i wraz z Kate przyjmowali

kondolencje, jakby należeli do rodziny.

- Co tu jest grane? - szepnął Willy do Elwiry, kiedy czekali, by podejść do Kate.

Kate, trzynaście lat młodsza od swojej niezwyklej siostry, liczyła sobie siedemdziesiąt pięć lat, była chuda i miała krótko przystrzyżone siwe włosy. Ciepłe, błękitne oczy teraz przesłaniały łzy.

Przez całe życie Bessie ją tyranizowała, pomyślała Elwira, mocno obejmując przyjaciółkę.

- Tak jest lepiej dla Bessie - odezwała się stanowczym tonem. - Pomyśl, że gdyby żyła, ale musiała leżeć w łóżku, zniedołężniała i uzależniona od innych, nie potrafiłaby się z tym pogodzić.

- Rzeczywiście - przyznała Kate, ocierając łzę. - Nie zaakceptowałyby tego. Bessie była dla mnie nie tylko siostrą, ale i matką. Bywała uparta, ale miała dobre serce.

- Będzie nam jej brakować - odrzekła Elwira, a stojący za jej plecami Willy tylko ciężko westchnął.

Kiedy Kate zniknęła w braterskim uścisku Willy'ego, Elwira przyjrzała się Vicowi Bakerowi. Grobowa, a zarazem oficjalna mina tego mężczyzny przywołała jej na myśl postać z Rodziny Adamsów. Baker - krępy trzydziestopięciolatek o chłopięcej twarzy, ciemnych włosach i chytrych, błękitnych oczkach - stał w czarnym garniturze i czarnym krawacie. Obok niego jego żona, Linda, również odziana w czerń, przykładła chusteczkę do oczu.

Pewnie usiłuje wycisnąć łzę, pomyślała sucho Elwira. Poznała tych dwoje w Święto Dziękczynienia. Kate, która zdawała sobie sprawę z pogarszającego się stanu Bessie, zaprosiła na uroczystą kolację Elwirę i Willy'ego, siostrę Kordelię, siostrę Maeve Marię oraz księdza Thomasa Ferrisa, proboszcza parafii świętego Klemensa, której plebania mieściła się zaledwie parę kroków od domu pani Durkin Maher, stojącego przy Sto Trzeciej Zachodniej.

Vic i Linda wpadli do Bessie, gdy wszyscy siedzieli przy kawie i Elwira zwróciła uwagę, że Kate ostentacyjnie nie zaprosiła ich na deser. Dlaczego teraz jednak tamci zachowują się jak pograżona w żałobie rodzina? - zastanawiała się Elwira. Nie miała wątpliwości, że głęboki smutek Lindy jest udawany.

Wiele osób uznałoby ją za ładną, zastanawiała się w duchu, mierząc wzrokiem regularne rysy twarzy tej kobiety, ale wolałabym nie nadebrać jej na odcisk. Pani Baker ma w sobie chłód, któremu nie ufam, a jej fryzura ze złotymi pasemkami na kilometr pachnie zakłamaniem.

- Zawsze była dla nas zupełnie jak rodzona matka - mówiła Linda drżącym głosem.

Oczywiście Willy dosłyszał tę uwagę i nie mógł się powstrzymać, by nie dorzucić swoich trzech groszy.

- Wynajmują państwo to mieszkanie od niecałego roku, nieprawdaż? - spytał.

Nie czekając na odpowiedź, wziął Elwirę pod rękę i pchnął w stronę ławki. Po śmierci, podobnie jak za życia, Bessie Durkin Maher wyglądała, jakby panowała nad sytuacją. Ubrana w najlepszą sukienkę, z naszyjnikiem ze sztucznych pereł, który otrzymała od sędziego w prezencie ślubnym, starannie uczesana, miała usatysfakcjonowany wyraz twarzy kogoś, kto przez całe życie stawiał na swoim.

Wychodząc, Elwira i Willy pożegnali się z Kate i obiecali, że przyjdą na nabożeństwo żałobne do kościoła świętego Klemensa, a potem zawiozą ją na cmentarz.

- Przyjdzie również siostra Kordelia - powiedziała przyjaciółka. - Willy, przez ten tydzień, kiedy was nie było, bardzo się o nią martwiłam. Ma duże kłopoty. Miejscy inspektorzy nie dają jej spokoju w sprawie „Małego Domu”.

- Spodziewaliśmy się tego - odparł Willy. - Telefonowałam, ale jej nie było i nie oddzwoniła. Liczyłem, że tutaj ją spotkam.

Zerknąwszy na żałobników, Kate dostrzegła, że zbliża się do nich Linda Baker, i zniżyła głos.

- Poprosiłam siostrę, żeby po pogrzebie przyszła do mnie - odezwała się szeptem. - Wy też wstąpcie. Będzie również ksiądz Ferris.

Wymieniono słowa pożegnania - a ponieważ Willy chciał się przewietrzyć i odetchnąć od duszącego zapachu kwiatów, oboje postanowili trochę się przejść, nim zatrzymają taksówkę.

- Zauważyłeś, jak Linda Baker rzuciła się w naszą stronę, kiedy zobaczyła, że rozmawiamy z Kate? - spytała Elwira, gdy ramię w ramię szli w stronę Columbus Avenue.

- Jeszcze jak. Przyznam, że coś mi się w niej nie podoba. Ale bardziej martwię się o Kordelię. To dzielna kobieta, chyba jednak za dużo na siebie wzięła, kiedy postanowiła zajmować się dziećmi po szkole.

- Willy, ona tylko zapewnia dzieciakom ciepłe, bezpieczne miejsce, gdzie mogą poczekać, aż matki odbiorą je, wracając z pracy. Czemu ktoś miałby się do tego przyczepić?

- Owszem, władze miasta. Czy nam się to podoba czy nie, wszystkich obowiązują ścisłe przepisy, dotyczące opieki nad dziećmi. Poczekaj, mam już dość tego zimnego powietrza. Jedzie taksówka.

## Rozdział 2

Czy nam się to podoba czy nie, wszystkich obowiązują ściśle przepisy - powiedziała z westchnieniem siostra Kordelia, nie wiedząc, że dokładnie powtarza wczorajsze stwierdzenie Willy'ego. - Wyznaczyli mi ostateczny termin na pierwszego stycznia, a inspektor Pablo Torres dodał, że i tak już złamał wszystkie możliwe przepisy i regulaminy.

Była pierwsza po południu, po mszy żałobnej doczesne szczątki Bessie Durkin złożono w miejscu wiecznego spoczynku, u boku trzech pokoleń Durkinów na cmentarzu Calvary.

Willy i Elwira, siostra Kordelia oraz jej dwudziestodwuletnia pomocnica, siostra Maeve Maria - była funkcjonariuszka nowojorskiej policji - a także ksiądz Thomas Ferris siedzieli przy stole w mieszkaniu Bessie, rozkoszując się soczystą szynką, domową sałatką ziemniaczaną i bułeczkami, przygotowanymi przez Kate.

- Podać wam coś jeszcze? - spytała nieśmiało gospodyni, nim zajęła miejsce przy stole.

- Usiądź wreszcie, Kate - poleciła Elwira. - Na czym właściwie polega największy problem, Kordelio? - zwróciła się do zakonnicy.

Z twarzy siedemdziesięcioletniej siostry na moment zniknęło zatroskanie.

- Nawet ty nic na to nie poradzisz, Elwiro - odrzekła z uśmiechem, patrząc ciepło na bratową. - Opiekujemy się trzydziściorciem sześciorgiem dzieci w wieku od sześciu do jedenastu lat. Przychodzą do nas po lekcjach. Spytałam

Pabla, czy wolałby, żeby szwendały się po ulicach. Prosiłam, aby mi wyjaśnił, co w naszym postępowaniu jest godne nagany. Karmimy te biedactwa, namówiliśmy też porządne dzieciaki ze szkoły średniej, żeby pomagały tamtym w lekcjach i bawiły się z nimi. W sklepie z używaną odzieżą zawsze są dorośli wolontariusze, więc dzieci znajdują się pod stałą opieką. Rodzice odbierają synów i córki najpóźniej o wpół do siódmej. Oczywiście nie pobieramy za to opłat, a pielęgniarki ze szkoły sprawdzają każde dziecko, które przyjmujemy. Nigdy nie było żadnych skarg. - Kordelia westchnęła i pokręciła głową.

- Zdajemy sobie sprawę z tego, że budynek ma zostać sprzedany - teraz mówiła siostra Maeve - ale upłynie co najmniej rok, zanim będziemy musieli się wyprowadzić. Dopiero co odnowiliśmy piętro, na którym przebywają dzieci, czyli na pewno nigdzie nie odłazi żadna stara farba. Mimo to nadal mamy problem, gdyż inspektorzy twierdzą, że przed laty ściany pokryto farbą z ołowiem. Matka przełożona pytała Pabla, czy sprawdził, w jakich miejscach mieszkają te dzieciaki i porównał je z warunkami w „Małym Domu”. Oświadczył, że to nie on ustanawia przepisy. Stwierdził, że w takim ośrodku muszą być dwa wyjścia, bo schody przeciwpożarowe się nie liczą.

- Klatka schodowa jest taka szeroka, że dzieci mogą schodzić piątkami, ale to oczywiście również się nie liczy. Maeve, mogłybyśmy godzinami ciągnąć tę listę - przerwała jej siostra Kordelia. - Wszystko sprowadza się do jednego: za cztery tygodnie musimy zamknąć drzwi „Małego



Domu”, a jeśli zjawi się jakieś dziecko, nie pozostanie nam nic innego, jak wysłać je do pustego mieszkania, gdzie nie będzie ani bezpieczne, ani pod opieką dorosłych.

Gospodyni podniosła dzbanek, a ksiądz Ferris podsunął pustą filiżankę.

- Tak, bardzo proszę, Kate. Chyba już czas, abyśmy podzielili się ze wszystkimi dobrą nowiną.

Panna Durkin spojrzała na niego nieśmiało.

- Może ksiądz to zrobi?

- Chętnie. Bessie, niech odpoczywa w spokoju, czuła, że nadchodzi jej kres i dzień po Święcie

Dziękczynienia poprosiła, abym ją odwiedził.

Oby to była ta nowina, której się spodziewam, modliła się w duchu Elwira. Zwykle spokojną, dobrą twarz proboszcza rozjaśniła radość. Najwyraźniej wiadomość, którą zamierzał się z nimi podzielić, rzeczywiście była dobra.

Przyglądził srebrzyste włosy, potargane nieco w czasie pogrzebu przez wiatr i uśmiechnął się lekko.

- Oczywiście Bessie powiedziała, że w testamencie zapisze siostrze dom, a także dochód, który zapewni jej wygodne życie, lecz Kate od razu uprzedziła, że zamierza przekazać kamienicę siostrze Kordelii na nową siedzibę dla

„Małego Domu”.

- Wszyscy święci! - zawołała zakonnica. - Och, Kate!

- Kate nadal by w nim pozostała, w mieszkaniu na trzecim piętrze, obecnie zajmowanym przez Bakerów. Szczerze powiedziawszy, Bessie nie zachwycił ów pomysł, ale uważała, że decyzja należy do siostry, więc poprosiła, bym dopilnował, żeby wszystko poszło bez zgrzytów.

- Bessie zawsze uważała, że zgubiłabym się nawet w drodze do sklepu - powiedziała ciepło Kate.

- Zwróciłem uwagę Bessie, że plebania jest o trzy domy dalej, dlatego bez problemu wszystkiego dopilnuję, dodałem też, że Kate doskonale poradziłaby sobie sama - wyjaśnił duchowny.

- Będę szczęśliwa, udzielając u siebie gościny „Małemu Domowi” - oświadczyła siostra zmarłej.

- Od kiedy tylko go stworzyłaś, Kordelio, marzyłam, by wam pomóc, ale Bessie mnie potrzebowała.

Ksiądz Ferris z uśmiechem przyglądał się, jak do obu zakonnice z wolna docierało znaczenie owej wiadomości.

- Zawsze twierdziłem, że przezorność należałoby uznać za jedną z cnot głównych - oznajmił. - Tak się składa, że w kubelku z lodem chłodzi się butelka szampana. Sądzę, że wypadałoby wznieść toast za siostry Durkin: Bessie i Kate.

To cudowna nowina. Dlaczego tak się martwię? - pytała się w duchu

Elwira. Czemu jestem pewna, że coś się zepsuje? - jej umysł szukał wyjaśnienia, podobnie jak język szuka bolącego zęba. Wystarczyła chwila, by odkryć źródło troski: Bakerowie.

- A czy uda ci się wyeksmitować Bakerów, Kate? - zapytała. - Ostatnio niełatwo się pozbyć niepożądanych lokatorów.

- Nie będę z tym miała żadnych problemów odparła z przekonaniem przyjaciółka. - Kontrakt zawarto na rok, wygasa w styczniu. Jest też klauzula, że umowę można przedłużyć wyłącznie na wniosek właściciela mieszkania. Pamiętajcie, jak wynajmowałyśmy mieszkanie temu zapalonemu kulturyście? Przynajmniej raz w tygodniu upuszczał sztangę, a zawsze działo się to w środku nocy.

Biedna Bessie przekonana była, że kiedyś strop się zarwie. Wiecie, jak bardzo kochała swoją kamienicę. Kiedy wreszcie pozbyła się uciążliwego lokatora, do każdej następnej umowy wynajmu dodawała tamtą klauzulę.

- Wygląda na to, że wszystko dokładnie przemyślałaś - zauważył Willy.

- Przykro mi, że będą musieli zmienić mieszkanie, ale szczerze powiedziawszy... będę zadowolona, gdy się wyprowadzą - odrzekła Kate. -

Vic Baker nieustannie kręci się dookoła, niby to rozglądając się, co trzeba naprawić. Zachowuje się, jakby to on był właścicielem kamienicy.

Wyszli po godzinie; Elwira i Willy odprowadzili księdza do drzwi plebanii. Niebo, wcześniej tylko nieco zachmurzone, teraz już zupełnie zaciągnęło się chmurami. Wiatr przybrał na sile, a wilgotne, zimne powietrze przenikało ich do szpiku kości.

- Zapowiadają długą zimę - odezwała się Elwira. - Wyobrażacie sobie, że za parę tygodni trzeba by powiedzieć tym maluchom, że nie mogą przychodzić do „Małego Domu”, gdzie jest ciepło, bezpiecznie i miło?

Oczywiście, pytanie było retoryczne i sama Elwira słuchała siebie tylko półuchem. Uwagę skupiła na drugiej stronie ulicy, gdzie stała młoda kobieta w dresie, wpatrując się w plebanię.

- Księżę proboszczu - powiedziała półgłosem. - Niech ksiądz spojrzy na tę kobietę. Nie wydaje się księdzu, że jest coś dziwnego w tym, że tak tu stoi?

Duchowny skinął głową.

- Zauważyłem ją już wczoraj, a dzisiaj przysłała na poranną mszę. Zdażyłem ją dogonić, zanim wyszła; spytałem, czy nie potrzebuje pomocy, ale potrząsnęła głową i niemal wybiegła w popłochu z kościoła. Jeśli ma jakiś problem, nie mogę jej ponaglać, sama musi się do mnie zwrócić.

Willy powstrzymał żonę, kładąc jej rękę na ramieniu.

- Nie zapominaj, że czekają na nas w „Małym Domu”. Mieliśmy pomóc

Kordelii w przygotowaniach do jasełek - przypomniał.

- Czytaj: pilnuj własnego nosa. Cóż, chyba masz rację - zgodziła się pogodnie Elwira.

Jeszcze raz zerknęła na drugą stronę ulicy. Kobieta ruszyła szybkim truchtem, zmierzając na zachód. Elwira zmrużyła oczy, żeby dokładniej przyjrzeć się klasycznemu profilowi biegnącej, zwracając przy tym uwagę na jej królewską sylwetkę.

- Wygląda mi znajomo - powiedziała z namysłem. - Muszę puścić w ruch szare komórki.

# Rozdział 3

Rozmawiają o mnie, myślała Sondra, pośpiesznie się oddalając. Budynek, pod którym stała, teraz już nie był w remoncie, jak przed paru laty. Dziś nie zasłaniało jej rusztowanie, gdy stała, zastanawiając się, co zrobić.

Choć cóż właściwie mogła teraz zrobić? Na pewno nie dałoby się cofnąć czasu do tej chwili sprzed siedmiu lat, kiedy to przeszła przez ulicę, rozłożyła wózek i zostawiła dziecko na progu plebanii. Gdyby tak... gdyby tylko... myślała. A potem: wielki Boże, gdzie się zwrócić. Co się z nią stało? Kto zabrał moje maleństwo? Walczyła ze łzami.

W korku stała wolna taksówka i dziewczyna wyciągnęła rękę, by ją przywołać.

- Hotel Wyndham, przy Zachodniej Pięćdziesiątej Ósmej, między Piątą a Szóstą Aleją - powiedziała, wsiadłszy do samochodu.

- Pierwszy raz w Nowym Jorku? - spytał kierowca.

- Nie.

Ale nie byłam tu od siedmiu lat, dodała w duchu.

Pierwszy raz przyjechała do Nowego Jorku jako dwunastolatka. Dziadek przywiózł ją z Chicago na koncert słynnej Midori w Carnegie Hall. Potem jeszcze dwukrotnie odwiedzili to miejsce.

- Kiedyś ty też wystąpisz na tej scenie - obiecał jej uroczyście. - Masz ogromny dar. Możesz odnieść równie wielki sukces jak ona. - Dziadek, któremu karierę skrzypka uniemożliwił artretyzm, zarabiał na życie jako nauczyciel muzyki i krytyk.

I utrzymywał mnie, pomyślała ze smutkiem Sondra. Miał sześćdziesiąt lat, a jednak przyjął mnie pod swój dach.

Mając dziesięć lat, straciła oboje rodziców w wypadku samochodowym. Dziadek poświęcił jej cały swój czas i troskę, a także nauczył wszystkiego, co wiedział o muzyce. I przeznaczył wszystkie posiadane pieniądze, aby uczynić z wnuczki wielką skrzypaczkę.

Dzięki swemu talentowi uzyskała pełne stypendium na uniwersytecie w

Birmingham. Właśnie tam wiosną pierwszego roku poznała Anthony'ego del

Torre, pianistę, który przyjechał na występy do miasteczka uniwersyteckiego. To, co się stało później, nie powinno nigdy się wydarzyć.

Jak miałam przyznać się wtedy dziadkowi do romansu z żonatym mężczyzną? - pytała się teraz w duchu. Nie mogłam przecież zatrzymać dziecka, nie miałabym z czego opłacić opiekunki. Czekały mnie jeszcze długie lata nauki. Gdybym powiedziała prawdę, złamałabym mu serce.

Taksówka wolno przedzierała się przez zatłoczone ulice, a Sondra odtwarzała w pamięci tamten koszmaryny czas. Wspominała, jak oszczędzała pieniądze na wyjazd do Nowego Jorku; jak

trzydziestego listopada zameldowała się w tanim hotelu, kupiła niemowlęce ubranka, pieluchy, butelki, mleko i wózek. Sprawdziła też, gdzie się mieści najbliższy szpital. Zamierzała pojechać na ostry dyżur, gdy rozpocznie się poród. Oczywiście musiałyby podać fałszywe nazwisko i adres. Ale trzeciego grudnia dziecko tak szybko przyszło na świat, że dziewczyna nie zdążyła do szpitala.

Na samym początku ciąży postanowiła, że zostawi noworodka właśnie w

Nowym Jorku. Kochała to miasto i od pierwszej bytności tutaj z dziadkiem wiedziała, że kiedyś zamieszka na Manhattanie. Czowała się w Nowym Jorku jak w domu. Podczas pierwszego pobytu dziadek zaprowadził ją do kościoła świętego Klemensa, do którego uczęszczał jako chłopiec.

- Jeśli miałem jakąś szczególną intencję, klękałem w ławce przy obrazie biskupa Santoriego i jego kielichu - opowiadał. - Te dwa przedmioty zawsze przynosiły mi otuchę. Sondro, właśnie tutaj się udałem, kiedy sobie uświadomiłem, że nie pokonam sztywności palców. Wtedy byłem najbliższy załamania.

W ciągu kilku dni dzielących ją od porodu dziewczyna wielokrotnie zaglądała do kościoła świętego Klemensa i za każdym razem klękała w tej samej ławce. Obserwowała księży z tutejszej parafii, zauważyła dobroć, malującą się na twarzy proboszcza Ferrisa i była spokojna, że ten kapłan znajdzie właściwy dom dla jej maleństwa.

Gdzie się teraz podziewa moja córeczka? - zastanawiała się zrozpaczona Sondra. Od wczoraj cierpiała straszne męki. Natychmiast po zameldowaniu się w hotelu zadzwoniła na plebanię i przedstawiła się jako dziennikarka, która pisze historię dziecka, znalezione na stopniach plebanii siedem lat temu, trzeciego grudnia.

Zdumienie w głosie sekretarki stało się zapowiedzią koszmarnej prawdy.

- Dziecko zostawione u świętego Klemensa?! Chyba się pani pomyliła. Pracuję tu od dwudziestu lat i nic takiego nie miało miejsca.

Taksówka skręciła w Central Park South. Sandra kiedyś marzyła, że przybrani rodzice jej córeczki zaczną tu przychodzić z małą na spacer. Będą powoli pchać wózek po ścieżkach parku, aby dziecko mogło oglądać konie i dorożki.

Wczoraj późnym popołudniem udała się do biblioteki publicznej i poprosiła o mikrofilmy wszystkich nowojorskich dzienników z czwartego grudnia sprzed siedmiu lat. Wzmianka o parafii świętego Klemensa pojawiła się tylko raz, w artykule opowiadającym o kradzieży w kościele. Ponoć zabrano stamtąd kielich biskupa Santoriego, świętobliwego kapłana, do którego wielu wiernych się modliło.

Pewnie dlatego tamtego wieczoru zjawiała się tam policja. I dlatego ksiądz nie mógł podejść do telefonu, myślała Sondra z coraz większą rozpaczą. A ona sądziła, że już znaleźli dziecko.

W takim razie jednak kto je zabrał? Zostawiła córeczkę w papierowej torbie dla większej ochrony przed chłodem. Może jakieś dzieci zabrały wózek, bawiły się nim, a potem go porzuciły, nawet nie wiedząc, że tam jest noworodek? A jeśli maleństwo zmarło?

Trafiłabym do więzienia, przeraziła się Sondra. Co wtedy zrobiłby dziadek? Nieustannie mi powtarza, że nie żałuje owych lat wyrzeczeń, bo spełniły się jego marzenia. Jest taki dumny, że dwudziestego trzeciego grudnia wystąpię w Carnegie Hall. Pragnął tego z całego serca. Najpierw dla siebie, a potem dla mnie.

Skuszeni nazwiskami największych gwiazd, biorących udział w wielkim koncercie dobroczynnym, krytycy mieli również usłyszeć po raz pierwszy grę

Sondry. Główną atrakcją wieczoru stanowią Yo-Yo Ma, Plácido Domingo, Kathleen Battle,

Emanuel Ax oraz młoda, wybitna skrzypaczka Sondra Lewis. Dziewczynie nadal nie mieściło się to w głowie.

- Jesteśmy na miejscu - odezwał się z rozdrażnieniem taksówkarz.

Wyrwana z zadumy, uświadomiła sobie, że kierowca jest poirytowany, ponieważ musiał jej to powtórzyć.

- Przepraszam.

Opłata za kurs wynosiła trzy dolary czterdzieści. Sondra sięgnęła do portfela po pięciodolarowy banknot.

- Reszty nie trzeba - powiedziała, otwierając drzwiczki i wysiadając.

- Chyba jednak nie zamierzała mi pani dać czterdziestu pięciu dolarów napiwku.

Spojrzała na banknot, który pokazywał jej mężczyzna.

- Bardzo panu dziękuję - wyjąkała.

- Niech panienka na przyszłość bardziej uważa. Na pani szczęście nie wykorzystuję młodych, ładnych dziewcząt.

Zamieniając pięćdziesięciodolarówkę na właściwy banknot, Sondra pomyślała: szkoda, że cię nie spotkałam, zanim poświęciłam własne dziecko, aby nie stracić dobrej opinii u dziadka i swojej szansy na sukces.

## Rozdział 4

Kiedy Elwira i Willy dotarli do budynku przy Amsterdam Avenue - niegdyś Królestwa Mebli Goldsmitha i Syna - gdzie obecnie mieścił się sklep z używaną odzieżą siostry Kordelii, udali się od razu na piętro.

Zbliżała się czwarta i dzieci, które regularnie przychodziły po lekcjach do „Małego Domu”, siedziały ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, otaczając kółkiem siostrę Maeve Marię. Dużą salę przerobiono na pogodną i jasną wnętrze. Wyblakłe linoleum tak wypucowano, że błyszcząły nawet deski pod przetartymi kawałkami wykładziny.

Ściany pomalowano na słoneczny, żółty kolor. Wisiały na nich wycinanki i obrazki wykonane przez dzieci. Pradawne kaloryfery świstały i bulgotały, ale dzięki Willy'emu i jego niezwykłemu talentowi do naprawiania nienaprawialnego grzały pełną parą.

- Dzisiejszy dzień jest niezwykły - zapowiedziała siostra Maeve Maria. - Rozpoczynamy próby jasełek.

Willy i Elwira wślizgnęli się na miejsce niedaleko klatki schodowej i przyglądali się całej scenie z czułością. Elwira, która regularnie pomagała w

„Małym Domu”, odpowiadała za przygotowanie poczęstunku po jasełkach, Willy zaś miał się wcielić w postać Świętego Mikołaja.

Dzieci utkwili w siostrze Maeve błyszczące, pełne oczekiwania spojrzenia.

- Dzisiaj - tłumaczyła zakonnica - zaczniemy się uczyć pieśni o Bożym

Narodzeniu i święcie Chanuki, które wykonamy w czasie jasełek. A potem zapoznamy się z poszczególnymi rolami.

- Czyż to nie cudowne, że Kordelia i Maeve dopilnowały, by każde dziecko dostało jakąś rolę - szepnęła Elwira.

- Każde? Miejmy nadzieję, że to będą krótkie wystąpienia - odparł Willy.

- Nie mówisz poważnie - uśmiechnęła się żona.

- Założymy się?

- Ciii...

Poklepała go po ręce, a siostra Maeve Maria wyczytywała imiona dzieci, mających opowiadać o święcie Chanuki.

- Rachel, Barry, Sheila...

Z dołu przyszła Kordelia i powiodła wprawnym okiem po dzieciach. Czując, że zanosi się na psotę, podeszła do Jerry'ego - żywego siedmiolatka, który właśnie zanurzył dłoń w kieszeni sześciolatniego sąsiada.

Pacnęła go lekko po ramieniu.

- Rób tak dalej, a poszukam innego świętego Józefa - postraszyła go i przysiadła się do Elwiry i Willy'ego. - Po powrocie czekała na mnie kolejna wiadomość od Pabla Torresa. Wstawiał się za nami i wierzę, że robił, co w jego mocy, ale twierdzi, że nie zdoła wywalczyć przesunięcia terminu likwidacji ośrodka. Chyba w równym stopniu jak mnie ucieszyła go wiadomość o kamienicy Bessie. Zna ten dom i przypuszcza, że nie będzie problemu z przeniesieniem tam naszej działalności. Będziemy mogły nawet przyjąć więcej dzieci.

Ze sklepu na parterze przybiegła jedna z wolontariuszek.

- Dzwoni Kate Durkin i prosi siostrę. Proszę się pośpieszyć, bo strasznie płacze.

## Rozdział 5

Po nastroju radości podczas lunchu, który spożywali parę godzin wcześniej, nie pozostało ani śladu. Powtórnie tego dnia Willy, Elwira, ksiądz Ferris i siostra Kordelia zasiedli wokół stołu. Była z nimi Kate. Cicho płakała.

- Godzinę temu rozmawiałam z Bakerami - opowiadała. - Oświadczyłam im, że przekazuję kamienicę na działalność „Małego Domu” i dlatego nie przedłużę z nimi umowy najmu.

- A oni na to pokazali drugi testament? - zapytał zdumiony Willy.

- Tak. Oznajmili, że Bessie się rozmyśliła, gdyż wcale jej nie ucieszyła perspektywa, iż kamienicę sędziego zniszczy banda dzieciaków. Podobno uznała też, że naprawy, jakich dokonywał Vic oraz fakt, że pomalował mieszkanie, świadczą o tym, że utrzymają budynek w nieskazitelnym stanie - tak jak Bessie sobie wymarzyła. Wiecie, jak bardzo kochała tę kamienicę.

Wyszła nawet za mąż za sędziego, żeby ją mieć, pomyślała z przekąsem Elwira.

- Kiedy podpisała testament?

- Parę dni temu, trzydziestego listopada.

- Kiedy ją odwiedziłem dwudziestego siódmego listopada, pokazała mi wcześniejszą ostatnią wolę - wtrącił ksiądz Ferris. - Wtedy Bessie wcale nie wyglądała na zagniewaną. Nawet poprosiła, abym dopilnował, żeby Kate zatrzymała mieszkanie, kiedy przekaże kamienicę na działalność „Małego Domu”.

- Bessie pozostawiła mi pewien dochód. I zgodnie z nowym testamentem należy mi się darmowy lokal w domu Bakerów! Tak jakbym zamierzała mieszkać z nimi pod jednym dachem! - Łzy spływały jej po policzkach. - Nie wierzę. Jak Bessie mogła mi to zrobić? Zostawić dom obcym ludziom? Wiedziała, że nie znoszę Bakerów. A nigdzie indziej nie znajdę mieszkania, znacie ceny na Manhattanie.

Kate jest przerażona, zagniewana i dotknięta, pomyślała Elwira. Ale co gorsza...

Spojrzała nad stołem i uświadomiła sobie, że po raz pierwszy w życiu jej szwagierka wygląda na swój wiek.

- Kordelio - odezwała się, napotkawszy spojrzenie zakonnicy - obiecuję, że wymyślimy jakiś sposób, aby uratować „Mały Domu”.

Ta jednak pokręciła głową.

- Nie w ciągu czterech tygodni. Chyba że zdarzy się cud.

Ksiądz Ferris uważnie studiował nowy testament, który Vic Baker pokazał



Kate.

- Z mojego punktu widzenia wygląda na autentyczny - stwierdził. - Napisano go na papierze listowym Bessie i wiemy, że zmarła wprawdzie posługiwała się maszyną, a nie ulega wątpliwości, że to jej podpis. Przyjrzyj się, Elwiro.

Ta rzuciła okiem na kartki, a potem dokładnie przeczytała półtorastronicowy tekst.

- Rzeczywiście, to styl Bessie - przyznała. - Posłuchaj, Willy. „Dom jest niczym dziecko, a gdy zbliżamy się do kresu życia, staje się ważne, by przekazać go tym, którzy zapewnią mu najlepszą opiekę. Źle się czuję ze świadomością, że codzienna obecność licznej grupy małych dzieci całkowicie zmieni wygląd i charakter mojej nieskalanej kamienicy, dla której tyle poświęciłam”.

- Odwołuje się do małżeństwa z sędzią Maherem? - spytał Willy. - To był przyzwoity gość.

Elwira wzruszyła ramionami i pojęła lekturę.

- „Dlatego też zapisuję dom Victorowi i Lindzie Bakerom, którzy zajmą się nim w sposób adekwatny do jego szlachetnej natury”. Też mi: szlachetnej natury! - prychnęła, odkładając testament na stół. - Cóż bardziej szlachetnego niż przekazanie go, by służył dzieciom w potrzebie. Kto był świadkiem sporządzenia tego nieszczęsnego dokumentu? - zwróciła się do duchownego.

- Para przyjaciół Bakerów - odrzekł ksiądz Ferris. - Oczywiście pokażemy to prawnikowi, ale wątpię, czy uda nam się coś zdziałać.

Willy od dłuższej chwili obserwował żonę.

- Zgaduję, że twoje szare komórki pracują na pełnych obrotach - powiedział.

- Owszem - przyznała się i włączyła mikrofonik, ukryty w broszce przypiętej do klapy żakietu. - Testament pod wieloma względami wiernie oddaje styl mówienia Bessie, ale, Kate, czy kiedykolwiek słyszałaś, by mówiąc o domu, użyła przymiotnika: „nieskalany”?

- Nie, nie przypominam sobie - odrzekła z namysłem siostra zmarłej.

- A jak się o nim wyrażała? - dopytywała się

Elwira, kontynuując cierpliwie analizę nowego dokumentu.

- Och, znaliście Bessie. Chwaliła się, że można by zjeść z podłogi siedmiodaniowy posiłek... takie rzeczy.

- Właśnie. Zdaję sobie sprawę, że sytuacja wygląda fatalnie, ale czuję w kościach, że to oszustwo. Kate i Kordelio, daję wam słowo, że jeśli w jakikolwiek sposób będzie można tego dowiedzieć, znajdę dowody fałszerstwa. Czas zakasać rękawy!

# Rozdział 6

Siostra Maeve Maria została w „Małym Domu” i dalej prowadziła próbę jasełek, ale w myślach jawiły jej się najgorsze przypuszczenia, tłumaczące, czemu siostra Kordelia, Willy i Elwira popędzili do Kate Durkin.

- Stało się nieszczęście, Kate jest załamana.

Tylko tyle zdążyła jej powiedzieć Kordelia przed wyjściem.

Czyżby Kate napadnięto i obrabowano? - zastanawiała się Maeve Maria. Wiedziała, że rabusie przeglądali nekrologi w prasie i okradali mieszkania zmarłych, gdy rodzina udała się na pogrzeb. Zakonnica - dawna policjantka, a w dodatku siostra czterech stróżów prawa - zawsze, gdy tylko wydarzyło się coś niepokojącego, natychmiast zastanawiała się, czy nie popełniono przestępstwa.

Wszystkie dzieci otrzymały role wraz z poleceniem, by ćwiczyły w domu. Na początku jasełek zostanie przedstawiona opowieść o święcie Chanuki, upamiętniającym zwycięstwo Machabeuszów, zakończona pieśnią. Następnie zaś dzieci miały przedstawić scenę ogłoszenia dekretu Cesarza Augusta o spisie ludności, na którego mocy wszyscy musieli się udać do rodzinnych wiosek, aby zostali tam zapisani.

Scenariusz napisały Kordelia z Elwirą, a Maeve pogratulowała autorkom, że w pierwszej scenie przewidziały role dla tak wielu aktorów. Dzieci nie posiadały się z radości. Kwestie były proste, a przy tym znajome.

- „Ale wioska mojego ojca leży tak daleko”.

- „To długa podróż, kto zaopiekuje się dziećmi?”

- „Musimy znaleźć kogoś odpowiedzialnego, bo nie ma nic ważniejszego od bezpieczeństwa naszych maleństw”.

Kordelia przyznała, że dość swobodnie poczyniła sobie z oryginalnym tekstem, ale zaprosiła na przedstawienie inspektorów budowlanych i zamierzała dopilnować, by zrozumieli przesłanie jasełek: „Nie ma nic ważniejszego od bezpieczeństwa naszych maleństw”.

Pojedynczych kwestii nie otrzymały jedynie dzieci odgrywające rolę trzech króli, pastuszków, Maryi i świętego Józefa. Wybrano do nich najlepszych śpiewaków w grupie, gdyż mieli poprowadzić pieśń podczas sceny w stajence.

Jerry Nuñez - największy łobuziak wśród maluchów - grał świętego Józefa, a Stellinie Centino - poważnej i wyjątkowo roztropnej siedmiolatce - przypadła w udziale rola Maryi.

Stellina i Jerry mieszkali w tym samym domu i pod wieczór matka

Jerry'ego odbierała ich oboje.

- Mama Stelliny wyjechała do Kalifornii, gdy dziewczynka była jeszcze maleńka - wyjaśniła

siostram pani Nuñez. - A jej tata dużo podróżuje. Stellinę wychowuje cioteczna babka, ostatnio jednak Lilly często choruje. Biedaczka ogromnie się martwi. Nie wyobrażają sobie siostry, jak bardzo leży jej na sercu los małej. Zawsze powtarza:

„Gracie, mam osiemdziesiąt dwa lata. Muszę przeżyć jeszcze dziesięć, żeby ją wychować. Tylko o to się modlę”.

Co za śliczne dziecko, pomyślała o Stellinie Maeve, ustawiając ostatnią scenę jasełek. Kręcone, ciemnoblonde włosy, spięte na karku kłamrą, opadały małej na plecy. Blask porcelanowej cery podkreślały duże, ciemnobrązowe oczy z długimi rzęsami.

Jerry, który nigdy nie potrafił spokojnie usiedzieć, zaczął stroić miny do jednego z pastuszków. Zanim Maeve Maria zdążyła go skarcić, zainterweniowała Stellina.

- Jerry, jeśli grasz rolę świętego Józefa, to musisz być bardzo grzeczny.

- Zgoda. - Uspokoił się natychmiast i ostentacyjnie znieruchomiał w teatralnej pozie.

- Zaczyna śpiewać chór aniołów, pastuszkowie przysłuchają się ich pieśni, a ty, Tommy, pokażesz je i... co powiesz? - spytała zakonnica.

- Powiem: „Chałwa na wysokości, a chata na ziemi” - zaproponował sześciolatek Tommy.

Siostra Maeve ukryła uśmiech. „Matko Niebieskiego Pana, pięknaś ino po kolana” - przypomniała sobie, jak uczyli ją bracia. Tommy miał starszego brata-cwaniaka. Niewykluczone, że to on podpuszczał malucha.

- Tommy, musisz nauczyć się właściwej kwestii, bo inaczej nie zostaniesz pierwszym pastuszkim - oświadczyła zdecydowanym tonem.

Próba skończyła się o szóstej. Nieźle jak na pierwszy raz - myślała Maeve, gratulując dzieciom występu. Najprzyjemniejsze było to, że podopieczni dobrze się bawili.

Ona też, choć przyjemność, z jaką obserwowała pracujące nad rolami dzieci, zagłuszał niepokój i coraz głębsza obawa. Gdzie się podziała Kordelia i co takiego się stało?

Pomagając dzieciom znaleźć kurtki, rękawiczki i szaliki, Maeve dostrzegła, że Stellina jak zazwyczaj starannie powiesiła wcześniej swoją śliczną niebieską kurtkę, którą - jak się pochwaliła - uszyła jej babcia.

O wpół do siódmej wszyscy podopieczni, z wyjątkiem Jerry'ego i dziewczynki, poszli do domów. Większość z nich poczekała, aż zjawi się ktoś dorosły albo starsze rodzeństwo. Za kwadrans siódma siostra Maeve Maria sprowadziła tę parę na dół, do sklepu z używaną odzieżą - już zamkniętego. Pięć minut później wpadła Gracie Nuñez.

- Och, ten mój szef! - zawołała, wznosząc oczy ku niebu. - Musiałyśmy wydać spódnice, a dwie dziewczyny się nie zjawily. Wylałby mnie z roboty, gdybym powiedziała, że muszę się zająć dziećmi. Niech siostrze Bóg wynagrodzi. Nie ma siostra pojęcia, ile dla mnie znaczy świadomość, że dzieci znajdują się pod opieką siostry. Jerry, pożegnaj się i podziękuj.

Stellinie nie trzeba było przypominać.

- Dobranoc, siostrzo - powiedziała cicho. - I bardzo dziękuję. Nonna tak się cieszy, że gram Maryję - dodała z rzadkim u siebie uśmiechem. - Co wieczór przepytuje mnie z roli i nazywa wtedy Madonną.

Maeve zamknęła za nimi drzwi na klucz i szybko zaczęła gasić światła.

Kordelia pewnie nadal jest u Kate Durkin albo zajrzała do którejś ze staruszek, pomyślała. Smutno westchnęła na myśl, jakie wiadomości usłyszy po powrocie do domu.

Właśnie wkładała płaszcz, gdy dobiegło ją stukanie do okna. Odwróciła się i w świetle latarni

zobaczyła twarz mężczyzny. Mógł sobie liczyć jakie czterdzieści lat. Maeve przyglądała mu się z uwagą, gdyż intuicja starej policjantki podszeptowała jej, że coś jest nie w porządku.

- Siostrze, jest jeszcze moja malutka? Stellina Centino - spytał.

Ojciec Stelliny! Maeve podbiegła do drzwi i otworzyła. Wnikliwym spojrzeniem zawodowca zmierzyła szczupłą twarz mężczyzny, nie ufając ani jego urodzie, ani podejrzanemu układowi miny.

- Przykro mi, panie Centino - odparła chłodno - ale nie spodziewaliśmy się pana. Stellinę jak zwykle odebrała pani Nuñez.

- W porządku, nie ma sprawy - powiedział Lenny Centino. - Zapomniałem. Moja praca łączy się z częstymi wyjazdami. Dobrze, siostrze, spotkamy się w przyszłym tygodniu. Będę po nią przychodził. Zabiorę ją na kolację, może nawet do kina. Chcę zrobić Gwiazdce przyjemność. Jestem z niej dumny, wyrasta na prawdziwą laleczkę.

- Ma pan powody do dumy. To wspaniałe dziecko pod każdym względem - odrzekła krótko Maeve Maria.

Stojąc w drzwiach, odprowadziła go wzrokiem. W tym mężczyźnie było coś, co ją zaniepokoiło.

Nadal zatroskana o siostrę Kordelię, po raz ostatni obeszła budynek, włączyła alarm i wyszła na ulicę. Śnieg padał gęstymi, drobnymi płatkami, zapowiadając kolejną zamięć.

Siostra Kordelia siedziała z Bernadettą i Klarą, dwiema starszymi, emerytowanymi zakonnkami, które mieszkały wraz z nimi.

- Maeve, przyznam, że powoli tracę nadzieję - oświadczyła, a potem opowiedziała o nowym testamencie Bessie Durkin Maher.

Maeve natychmiast nabrała podejrzeń i zaczęła wypytywać o dokument.

- Czy coś z wyjątkiem użycia przymiotnika „nieskalany” wskazuje, że mamy do czynienia z fałszerstwem?

Kordelia uśmiechnęła się smutno.

- Tylko instynkt Elwiry.

Siostra Bernadetta, która zbliżała się do dziewięćdziesiątki, pokiwała głową.

- Instynkt Elwiry i słowa naszego Pana, Kordelio - odezwała się łagodnie. -

Wiecie, co mam na myśli.

Spojrzały na nią, nie rozumiejąc. Staruszka uśmiechnęła się lekko.

- „Pozwólcie dzieciom przychodzić do mnie”. Nasza Bessie czytała Biblię i знаła ten fragment z ewangelii świętego Łukasza jak każda dobra chrześcijanka. Nigdy by o tym nie zapomniała, nawet jeśli dom był jej oczkiem w głowie.

# Rozdział 7

Stellina nosiła klucz do mieszkania w zapinanej na suwak kieszeni kurtki. Nonna dała go jej, ale kazała obiecać, że nigdy nikomu nie powie, gdzie go chowa. Ostatnio zawsze z niego korzystała, żeby babcia nie musiała wstawać, gdyby właśnie odpoczywała.

Jeszcze niedawno po powrocie ze szkoły zastawała Lilly przy maszynie do szycia, ustawionej w pokoiku, w którym nocował tata, kiedy przyjeżdżał do miasta. Piły razem mleko, jadły ciasto, a jeśli babcia musiała odnieść gotowe ubrania albo odwiedzić klientkę, by wziąć miarę, Stellina zawsze jej towarzyszyła, pomagając nieść torby i pudła.

Ale ostatnio nonna coraz częściej chodziła do lekarza i dlatego pani Nuñez poradziła, by dziewczynka po lekcjach zostawała w „Małym Domu”.

Czasem, jeśli staruszka dobrze się czuła, wieczorem, po powrocie do domu, Stellina zastawała ją w kuchni: babcia gotowała kolację, a w mieszkaniu unosił się pyszny, ciepły aromat sosu. Dziś jednak nonna leżała w łóżku z przymkniętymi oczami. Nie spała; dziewczynka zauważyła, że porusza ustami. Pewnie się modli, pomyślała. Babcia dużo się modliła. Pochyliła się, by pocałować staruszkę.

- Nonna, wróciłam.

Lilly otworzyła oczy i westchnęła.

- Tak się martwiłam. Wrócił twój tata. Mówił, że wstąpi po ciebie do

„Małego Domu”. Zamierzał wziąć cię do miasta. Nie chcę, żebyś gdzieś z nim chodziła. Jeśli zjawi się, by cię odebrać z „Małego Domu”, powiedz, że babcia kazała ci wracać tylko z panią Nuñez.

- Tata wrócił? - spytała dziewczynka, próbując ukryć niepokój.

Nawet babci nie mogła się przyznać, że przyjazd Lenny'ego jej nie uradował - ale taka była prawda. Kiedy tata przyjeżdżał, ciągle kłócił się ze staruszką. Poza tym Stellina nie lubiła z nim wychodzić, bo często odwiedzali różnych nieznajomych ludzi, z którymi też się sprzeczał. Czasem dawali mu pieniądze, ale wtedy również nie był zadowolony, gdyż twierdził, że za to, co im przyniósł, należy mu się znacznie więcej.

Nonna oparła się na łokciu i usiadła, a potem wolniutko dźwignęła się z łóżka.

- Pewnie zgłodniałaś, cara. Chodź, zrobię ci kolację.

Dziewczyna wyciągnęła rękę, aby pomóc babci złapać równowagę.

- Kochane dziecko - wymamrotała kobieta, kierując się do kuchni.

Stellina była głodna i przepadała za makaronem Lilly, ale dziś z trudem go przełykała: za bardzo się martwiła o cioteczną babcie. Staruszkę coś dręczyło, oddychała płytko jak po biegu.

Zgrzyt klucza w zamku zapowiedział powrót taty. Babcia natychmiast się zachmurzyła,

dziewczynce zaschło w ustach. Wiedziała, że lada moment rozpocznie się awantura.

Lenny zjawił się w kuchni, podbiegł do Stelliny i chwycił ją w ramiona.

Zawirował z nią i pocałował dziewczynkę.

- Kochana Gwiazdko, stęskniłem się za tobą. Stellina próbowała się wysunąć, gdyż uścisk ojca był bolesny.

- Puść ją, ty brutalu! - zawołała babcia. - Zabieraj się stąd! Trzymaj się od nas z daleka! Nie jesteś tu mile widziany! Idź sobie i zostaw nas w spokoju!

Nieoczekiwanie Lenny nie zareagował gniewem, tylko się uśmiechnął.

- Może i odejdę na dobre, ciociu, ale wtedy zabiorę ze sobą Gwiazdkę. Nikt, nawet ty, nie zdoła mnie powstrzymać. Nie zapominaj, że jestem jej ojcem.

Potem obrócił się na pięcie i wyszedł, trzaskając drzwiami. Dziewczynka widziała, że babcia drży, a na jej czoło wystąpił pot.

- Nonna, nonna, nie denerwuj się - uspokajała staruszkę. - Nie zabierze mnie stąd.

Lilly zaczęła płakać.

- Stellino - powiedziała - jeśli zachoruję i nie będę mogła się tobą opiekować, nie wolno ci wyjeżdżać z tatą. Poproszę panią Nuñez, żeby się o ciebie zatroszczyła. Ale daj mi słowo, że z nim nie wyjedziesz. Tata nie jest dobrym człowiekiem i ciągle ma jakieś kłopoty.

Próbując uspokoić babcie, dziewczynka usłyszała, jak ta szepce:

- On jest ojcem. Opiekunem. Dobry Boże, co począć? Zastanawiała się, czemu nonna płacze.

## Rozdział 8

Jak zwykle, gdy trzeba się było zmagać z zagadką prawdopodobnego przestępstwa, Elwira nie mogła zasnąć tej nocy. Gdy już zgasili z Willym światło po wiadomościach o jedenastej, które oglądali w łóżku, kręciła się niespokojnie. Przez następne sześć godzin zaledwie drzemała, lecz ciągle męczyły ją dziwne, niepokojące sny i budziła się wystraszona.

Wreszcie o wpół do szóstej zlitowała się nad mężem, który już kilkakrotnie wymruczał przez sen: „Nic ci nie jest, kochanie?” i wstała. Włożyła ulubiony stary szlafrok z dzianiny, wpięła w klapę broszkę z mikroskopijnym magnetofonem, wzięła pióro i zeszyt, w którym prowadziła notatki z każdego dochodzenia i zaparzyła herbatę. Potem zaś usadowiła się przy stoliku pod oknem z widokiem na Central Park, włączyła mikrofon i zaczęła myśleć na głos.

- Nie można wykluczyć, że Bessie, która miała hysia na punkcie swojego domu, zostawiła go ludziom, jej zdaniem gwarantującym, że budynek zachowa pewien standard. W końcu nie wyrzuciła siostry na bruk; dopilnowała, by Kate zatrzymała lokal na górze, do którego ta i tak zamierzała się przenieść po przekazaniu kamienicy na działalność „Małego Domu”. -

Elwira wysunęła brodę i kontynuowała swe rozważania. - Pamiętam, że Bessie nigdy nie przepadała za dziećmi. Przypominam sobie nawet, jak kiedyś, spytana, czy nie żałuje, że nie dochowała się własnego potomstwa, odparła: „Dorośli posiadający dzieci i bezdzietni wzajemnie się nad sobą litują”.

Elwira na moment umilkła i popadła w zadumę. Ona i Willy tak bardzo pragnęli mieć dzieci. Pewnie ich wnuczeta byłyby w wieku maluchów, które wczoraj widziała w „Małym Domu”. Potrząsnęła głową. Cóż, trudno, widać nie było nam pisane, przywołała się do porządku.

- Założmy więc - ciągnęła - że faktycznie Bessie przeraziła perspektywa stadka dzieci harujących po wymuskany domu, zostawiających ślady palców na ścianach oraz rysy na podłogach i boazeriach, a do tego doszła jeszcze świadomość, że meble, które z takim pietyzmem polerowała od pięćdziesięciu lat, kiedy to przyszła do pracy u sędziego, zastąpią dziecięce sprzęty.

Elwira upewniła się, czy jej rozważania się nagrywają. Nacisnęła klawisze „stop”, „cofnij” i „włącz”, a potem przez chwilę słuchała taśmy.

Działa, pomyślała z zadowoleniem, a do tego odnosi się wrażenie, jakbym pracowała pełną parą. W końcu przecież jest to prawda, dodała w duchu.

Odchrząknęła i podjęła rozważania.

- Do tej pory jedynym dowodem na to, że ostatnią wolę Bessie sfałszowano, wydaje się fakt, że Bessie nigdy nie używała słowa „nieskalany”.

Elwira wzięła długopis i przewróciwszy ostatnią zapisaną kartkę z napisem

„Trinky Callahan”, otworzyła swój zeszyt na czystej stronie. U góry umieściła tytuł: „Sprawa testamentu Bessie”, następnie zaś zanotowała pierwszy punkt swojego rozumowania: „użycie przymiotnika «nieskalany»».

Potem słowa popłynęły szybko. Świadcowie testamentu: kim byli? Skąd pochodzili? Czas: ostatnią wolę sporządzono trzydziestego listopada. Czy

Kate widziała owych świadków? Co pomyślała, jeśli była w mieszkaniu, gdy zjawili się u Bessie?

Szare komórki pracują, stwierdziła z zadowoleniem Elwira. Ostatnio powróciła do lektury kryminałów Agaty Christie z Herkulesem Poirot. Zajmując się rozwiązywaniem prawdziwych zagadek kryminalnych, z przyjemnością śledziła tok myślenia i dedukcję słynnego detektywa.

Zanotowawszy ostatni punkt na swojej liście zadań, Elwira zerknęła na zegarek. Wpół do ósmej. Pora zamknąć notatnik i wyłączyć magnetofonik, uznała. Niedługo obudzi się Willy i chciała, aby śniadanie czekało już na niego.

W ciągu dnia muszę spotkać się sam na sam z Kate i spróbować odpowiedzieć na te pytania, pomyślała.

Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł i jeszcze raz włączyła magnetofon. Po swoim pierwszym artykule w „New York Globe”, na temat pobytu w kurorcie Cypress Point, bardzo się zaprzyjaźniła z redaktorem naczelnym, Charleyem Evansem. Na pewno błyskawicznie znajdzie jej informacje o Vicu i Lindzie Bakerach.

- Szare komórki wreszcie się obudziły - powiedziała na głos. - Czas zagonić do roboty współpracowników „Globe”, niech poszukają czegoś o

Bakerach. Stawiam dolara przeciwko dziurawym skarpetkom, że ta para oszustów nie po raz pierwszy próbuje kogoś naciągnąć.

Zwykle na poranną mszę u świętego Klemensa, odprawianą o siódmej, zjawiało się około trzydziścioro wiernych, na ogół starszych parafian. Ale podczas adwentu liczba ta się podwajała. Ksiądz Ferris w krótkiej homilii mówił o adwencie jako okresie oczekiwania.

- Czekamy na narodziny Zbawiciela. Wyglądamy tej chwili, gdy Maryja w Betlejem po raz pierwszy patrzyła na swojego nowo narodzonego Syna.

Cichy szloch z ławki obok portretu biskupa Santoriego zwrócił jego uwagę. Siedziała tam młoda, ładna kobieta, którą już wcześniej zauważył, gdy stała po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko plebanii. Twarz ukryła w dłoniach, ramiona jej drżały.

Muszę porozmawiać z nią po mszy postanowił proboszcz, ale kobieta wyjęła z torebki ciemne okulary, wysunęła się z ławki i boczną nawą ruszyła do wyjścia.

O wpół do dziesiątej Kate Durkin zaczęła przeglądać rzeczy, które zostały w pokoju jej zmarłej siostry. Nie może ich zostawić, żeby niszczyły się w szafie, skoro tylu ludzi nie ma przyzwoitych ubrań, uznała.

Kate miała wrażenie, że duże małżeńskie łóżce, w którym Bessie przez osiem lat spała z sędzią Maherem i z którego odeszła do Stwórcy, spogląda z niemym wyrzutem, gdy ona teraz wyjmowała z szafy sukienki i żakiety.

Niektóre z nich liczyły dobre dwadzieścia lat. Bessie zawsze powtarzała, że nie zamierza ich



nikomu oddawać, bo może kiedyś przydadzą się mnie, przypomniała sobie Kate. Zupełnie jakby nie dostrzegła, że musiałabym najpierw urosnąć o kilkanaście centymetrów. Dziwne, iż nie oddała ich też

Lindzie Baker, pomyślała z goryczą.

Na wspomnienie wczorajszych rewelacji i nowego testamentu do oczu napłynęły jej łzy. Otarła je rozdrażniona i spojrzała na biurko zmarłej siostry.

Jej uwagę przyciągnęła maszyna do pisania. Kate miała wrażenie, że powinna coś sobie przypomnieć, ale co?

Nie zdążyła jednak się zastanowić, co podszeptowała jej podświadomość, gdyż usłyszała za sobą jakieś dźwięki. Obejrzała się - w progu stali Vic i

Linda.

- Och, Kate - odezwała się słodko pani Baker - tak się cieszę, że opróżniasz dla nas pokój Bessie.

Na dole zadzwieczał dzwonek.

- Otworzę - oświadczył Vic Baker.

„Jeszcze nie jesteś tu gospodarzem” - powiedziała sobie w duchu Kate i szybko ruszyła za mężczyzną na dół.

Po chwili ujrzała przed drzwiami wejściowymi radującą serce postać

Elwiry i usłyszała jej pytanie:

- Czy zastałam panią tego nieskalanego domostwa, Kate Durkin?

## Rozdział 9

Lenny wrócił o północy i na palcach wślizgnął się do sypialni - z grubsza opróżnionej z ubrań, które naprawiała Lilly - po czym położył się spać.

Następnego dnia obudził się o dziewiątej i zaskoczyły go odgłosy dobiegające z drugiej sypialni. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że to sobota i Gwiazdka nie ma zajęć.

Oznaczało to również, że ciotka Lilly zapewne nadal leży w łóżku - o ile nie poszła na mszę. Po owym fatalnym upadku latem nie wróciła do formy. Próbowwała wmówić Lenny'emu, że nic jej nie dolega, ale podsłuchiwał jej rozmowę z sąsiadką, w czasie której zwierzała się, że zdaniem lekarza utratę przytomności spowodował lekki zawał. Niezależnie od przyczyny, nie ulegało wątpliwości, że od ostatniej jego wizyty we wrześniu Lilly bardzo się posunęła.

Lenny wyjaśnił ciotce, że przebywał na Florydzie, gdzie pracował w firmie dostawczej. Lilly odrzekła, że cieszy ją jego stała praca i że nie musi się martwić o Stellinę.

Jasne, że nie muszę się martwić o Gwiazdkę, pomyślał. Ciotka Lilly nie posiadałaby się ze szczęścia, gdyby już nigdy się nie pojawił w tym domu.

Sięgając po papierosa, pomyślał, że przecież w gruncie rzeczy nie okłamał staruszki. Faktycznie dostarczał towar - małe torebki, które uszczęśliwiały klientów. Ale uznał, że na Florydzie zrobiło się zbyt niebezpiecznie, dlatego postanowił wrócić do Nowego Jorku, zakręcić się wokół jakiegoś niewielkiego interesu i lepiej poznać Gwiazdkę.

Jestem porządnym, troskliwym samotnym ojcem, mieszkam ze starą ciotką w szacownej kamienicy, kontynuował w duchu swe rozważania. I dobrze, bo kiedy Lilly na zawsze zamknie oczy, przynajmniej będziemy już zaprzyjaźnieni z małą. Kto wie? Może nawet wciągnę ją do roboty?

Przeanalizował sytuację, wypalił papierosa aż do filtra, zdusił niedopałek na tacce z akcesoriami do szycia, a potem zapalił kolejnego, żeby się uspokoić przed kolejną konfrontacją z ciotką.

Jeszcze kiedy Gwiazdka była malutka i zabierał ją na długie spacery, Lilly podejrzliwie mu się przyglądała. Lenny uśmiechnął się na myśl o towarze, który przewoził w wózku, kiedy ludzie zachwycali się jego śliczną córeczką.

Ale po powrocie do domu ciotka zasypywała go pytaniami.

- Gdzie spacerowaliście? Dokąd ją zabrałeś? Pościel śmierdzi dymem. Zabiję cię, jeśli wszedłeś z nią do baru.

Nieustannie się go czepiała.

Dobrze rozumiał, że musi uważać i nie dopuścić, by Lilly za bardzo niepokoiła się o dziecko. Jeszcze tego brakowało, żeby ciotce strzelił do głowy jakiś głupi pomysł - na przykład szukania jego rzekomej dziewczyny, która wyjechała do Kalifornii.

Dzięki pewnym znajomościom załatwił Gwiazdce podrobioną metrykę. W liście przyklejonym do kocyka napisano, że dziecko ma irlandzko-włoskich rodziców. I świetnie. Przecież on jest Włochem, a jej matka niech będzie Irlandką, postanowił Lenny i kazał, by w rubryce „matka” wpisano Rose O’Grady. Przypomniała mu się piosenka o Rosie O’Grady - w dzieciństwie bardzo ją lubił, a koleżanka z klasy, Irlandka, często ją śpiewała.

Lilly miałyby robotę do końca życia, gdyby przyszło jej do głowy szukać w Kalifornii niejakiej Rose O’Grady, pomyślał z satysfakcją Lenny. To pospolite nazwisko, a stan jest bardzo duży, lecz owe poszukiwania mogły spowodować problemy, on zaś nie zamierzał do tego dopuścić. Jeśli chce uspokoić ciotkę, musi bardziej przekonująco odgrywać rolę troskliwego ojca.

Lenny ziewnął, przeciągnął się, podrapał po obojczyku, odgarnął ciemne, proste włosy i wstał z łóżka. Włożył dżinsy, stopy wsunął w adidasy, nie zapomniał o podkoszulku, po czym wyszedł na korytarz i udał się do sypialni ciotki.

Drzwi były otwarte i tak jak przypuszczał, Lilly siedziała w łóżku. W schludnym, ale zagraconym pokoiku stała też wąska leżanka Gwiazdki, wciśnięta między ścianę a posłanie staruszki.

Lenny zatrzymał się w progu; odwrócona plecami do niego dziewczynka recytowała opiekunce swoją rolę w jasełkach. Lilly go nie zauważyła, toteż stanął w bezruchu i słuchał, jak Gwiazdka - wyprostowana jak struna, z kręconymi ciemnoblonde włosami, wymykającymi się spod spinki - mówiła swą kwestię, siedząc po turecku:

- Och, Józefie, nieważne, że nie przyjmą nas w gospodzie. Znajdziemy schronienie w stajence i Dzieciątko nie będzie musiało już czekać, aby do nas przyjść.

- Bella, bella Madonna - powiedziała Lilly. - Najświętsza Panienska będzie zadowolona, że odgrywasz Jej rolę. - Westchnęła i pogładziła dziewczynkę po ręce. - A dziś zacznę szyc białą szatę i błękitny welon, w których będziesz występować, Stellino, cara...

Ciotka bardzo źle wygląda, chyba powinna iść do szpitala, pomyślał Lenny z lekkim niepokojem. Miała ziemistą cerę, na czole błyszczały jej kropelki potu. Już chciał zapytać, jak się czuje, ale nic nie powiedział, a spojrzawszy na komódkę, zmarszczył brwi. Na blacie stały dewocjalia, figurki Świętej

Rodziny i świętego Franciszka z Asyżu. Przywykł do nich - ciotka zawsze była wyjątkowo religijna - lecz nadal żałował, że przed laty znalazła srebrny kielich, z którego wyrwał brylant.

W prasie narobiono mnóstwo szumu wokół kradzieży, bo kielich stanowił pamiątkę po świętym biskupie. Lenny zdawał sobie sprawę z tego, że za bardzo by ryzykował, gdyby spróbował od razu go sprzedać. Nie warto dla paru dolarów nadstawiać karku. Dlatego schował zdobycz w szafie, licząc, że za jakiś czas - może w innym mieście - uda mu się spieniężyć łup.

Wtedy jednak Lilly wpadła w szal porządków, natknęła się na kielich i powiedziała, że wygląda jak naczynie mszalne. Lenny na oczekaniu wymyślił bajeczkę, że należał do matki Gwiazdki, Rose. Oświadczył, że wuj, ksiądz, podarował go jej na łożu śmierci. Naturalnie Lilly natychmiast wypolerowała srebro, tak że błyszczało jak nowe i ustawiła go wśród kolekcji figurek.

A niech tam, skoro ją to cieszy, pomyślał Lenny. Dzięki temu zaś, że wtedy go nie upchnął, zapewne uniknął poważnych kłopotów. Teraz jednak najprawdopodobniej nikt już nie szuka kielicha. Ciekawe, ile by za niego dostał. Całe szczęście, że Lilly nie znalazła notatki, która była przypięta do kocyka Gwiazdki. Lenny zatrzymał kartkę, w razie gdyby ktoś kiedyś zaczął go wypytywać, skąd się

wzięła dziewczynka, i musiałby udowodnić, że jej nie porwał.

Schował papier w szczelinę między najwyższą półką a plecami szafy. Lilly za nic by tam nie dosięgnęła, nawet kiedy odkurzała półki szczoteczką.

Wzruszył ramionami, odwrócił się i przeszedł do kuchni, aby sprawdzić, czy w lodówce i szafce znajdzie się coś do jedzenia. Mierne szanse, pomyślał. Najwyraźniej Lilly już od paru dni nie robiła sprawunków. Zanotował, co trzeba kupić, złapał kurtkę i wrócił do pokoju ciotki.

Tym razem wkroczył z głośnym powitaniem.

- Dzień dobry. Jak się czują moje dziewczynki?

Troskliwie zapytał ciotkę o zdrowie, polecił Gwiazdce, żeby odrobiła lekcje i oświadczył, że idzie do sklepu. Wyrecytował, co już zapisał na liście. Lilly patrzyła na niego podejrzliwie, ale w końcu ustąpiła i dorzuciła parę potrzebnych rzeczy.

Na zewnątrz Lenny'ego uderzyło ostre powietrze i żałował, że nie włożył czapki. Najpierw skoczy do baru i zje porządne śniadanie, postanowił. Stamtąd zadzwoni też do swoich tutejszych zleceniodawców, żeby się przypomnieć i zgłosić gotowość powrotu do dawnych zajęć, co - nie wątpił - tamtych ucieszy.

A kiedy już droga cioteczka Lilly przestanie mu zawadzać, wciągnie do roboty Gwiazdkę. Będzie świetną partnerką. Kto by się tego spodziewał?

Tak, Gwiazdka i jej tata będą pracować ręka w rękę i rozwiną świetny interes, dostarczając towar spragnionym klientom.

# Rozdział 10

Uciekając z kościoła, Sondra czuła na sobie wzrok księdza. Usiłując powstrzymać szloch, biegła do hotelu. Na miejscu wzięła prysznic, zamówiła kawę i przyłożyła do opuchniętych oczu chłodne, wilgotne ręczniczki.

Muszę przestać płakać - powtarzała sobie w duchu. Natychmiast muszę przestać. Koncert jest bardzo ważny, trzeba się do niego przygotować.

O dziewiątej miała na pięć godzin udać się do wynajętego studia w Carnegie Hall, by tam ćwiczyć. Powinna wziąć się w garść. Zdawała sobie sprawę, że wczoraj grała znacznie poniżej możliwości, była bez formy, zdekoncentrowana.

Ale jak tu nie myśleć o dziecku? - pytała samą siebie. Co się stało z moją córeczką?

Od pięciu lat wyobrażała sobie, że malutka zamieszkała u cudownych rodziców, którzy nie mogli mieć własnych dzieci, toteż kochali ją i rozpieszczali. Teraz jednak nie umiała odpowiedzieć sobie na pytanie, kto ją znalazł - i czy w ogóle znalazł.

Spojrzała w lustro. Okropność! - pomyślała. Zaczerwieniona twarz, opuchnięte oczy. Na oczy nic się teraz nie poradzi, ale smukłe, delikatne palce sprawnie nałożyły podkład na policzki, ukrywając ślady łez.

Po południu znowu przejdę obok plebanii, postanowiła w duchu Sondra.

Ta myśl przynajmniej trochę ją uspokoiła. Tam po raz ostatni widziała córeczkę, dlatego tam czuła się bliżej niej. Poza tym, kiedy modliła się przed obrazem biskupa Santoriego, ogarnęło ją coś podobnego do tego spokoju, o którym wiele lat temu opowiadał jej dziadek. Nie prosiła o odzyskanie dziecka - nie zasługiwała na to. Błagała tylko o pewność, że jest bezpieczne i kochane. To musiało wystarczyć.

Sondra zabrała z kościoła gazetkę parafialną i teraz wyjęła ją z kieszeni bluzy. Tak, upewniła się, msza jest o piątej. Przyjdzie do kościoła, ale trochę spóźniona, dzięki temu ksiądz nie zdąży jej zaczepić. A potem wymknie się przed końcem.

Zwinęła ciemnoblond włosy i spięła je z tyłu głowy, zastanawiając się, czy córeczka choć trochę ją przypomina.

# Rozdział 11

Przy dzbanku herbaty i rozpluwającym się w ustach placku Kate, hojnie przez nią ukrojonym, Elwira zaczęła układać plan akcji mającej na celu obronę kamienicy przed zachłannością Bakerów.

- Czyż to nie okropne? Muszę szeptać we własnym domu - skarżyła się

Kate. - Tych dwoje nieustannie się tu szwenda. Tuż przed twoim przyjściem omal nie dostałam zawału, kiedy się odwróciłam i zobaczyłam ich za plecami.

Dlatego teraz zamknęłam się na klucz. - Zerknęła na testament siostry i westchnęła. - Ale nic nie poradzę, wszystko przemawia na ich korzyść.

- To się jeszcze okaże - oświadczyła zdecydowanie Elwira, włączając mikrofonik w broszce. - Mam do ciebie mnóstwo pytań, bierzmy się do pracy. Ksiądz zjawił się u ciebie w piątek, dwudziestego siódmego. Nie miał cienia wątpliwości, że Bessie tobie zapisze dom, choć zdawał sobie sprawę, iż nie cieszy jej perspektywa hordy dzieci, które będą w nim się szarogęsić.

Kate skinęła głową. W niebieskich oczach - powiększonych przez duże, okrągłe soczewki okularów - pojawiła się zaduma.

- Znałaś Bessie - odrzekła. - Była strasznie uparta. Narzekała, że banda dzieciaków zrujnuje jej ukochaną kamienicę. Ale potem parsknęła śmiechem i powiedziała: „Na szczęście, to nie ja będę musiała po nich sprzątać, tylko ty, Kate”.

- To miało miejsce dwudziestego siódmego, w piątek? - upewniła się

Elwira. - Jak Bessie się czuła w czasie weekendu?

- Była zmęczona. Serce się poddawało i wiedziała o tym. Kazała mi wyjąć i wyprasować niebieską sukienkę. Poleciała też, żebym - kiedy nadejdzie czas - założyła jej perły. Powiedziała, że nie mają wielkiej wartości, ale to jedyna biżuteria, jaką otrzymała od sędziego. Oczywiście, z wyjątkiem obrączki, ale jej też nie warto nikomu zapisywać. A na koniec dodała: „Wiesz, Kate, Aloysius był dobrym człowiekiem. Gdybym wyszła za niego jako młoda dziewczyna, pewnie dochowałabym się własnej rodziny i nauczyła się nie robić tyle szumu wokół zadrapań i brudnych śladów rąk na ścianach”.

- To było w sobotę? - zapytała Elwira.

- Nie, w niedzielę.

- A rzekomo w poniedziałek spisała nową ostatnią wolę. Nie słyszałaś stukania w maszynę? Kiedy, twoim zdaniem, zjawili się świadkowie, by podpisać testament?

- Nie widziałam ich - odrzekła Kate, kręcąc głową. - Wiesz, że w poniedziałki i piątki po południu pracuję jako wolontariuszka w szpitalu.

Bessie nawet nie chciała słyszeć, żebym została w domu. Kiedy wychodziłam, była w dobrej

formie: siedziała w fotelu w salonie na dole i oglądała telewizję. Powiedziała nawet, że chętnie się mnie pozbędzie na parę godzin, bo robi jej się niedobrze na widok mojej zatroskanej miny.

- A gdzie ją zastałaś po powrocie?

- W tym samym miejscu. Oglądała jedną ze swoich ulubionych telenowel.

- Dobrze. A teraz porozmawiam sobie z tymi dwoma świadkami. - Elwira spojrzała na ostatnią stronę testamentu. - Wiesz, co to za ludzie?

- Nigdy o nich nie słyszałam - odparła Kate.

- Cóż, chyba złożę im wizytę. Pod podpisami jest adres: James i Eileen Gordonowie, Zachodnia Siedemdziesiąta Dziewiąta.

Elwira podniosła wzrok. Do jadalni wkroczył bez pukania Vic Baker.

- Miła pogawędka przy herbatce? - spytał z wymuszoną jowialnością.

- Aż do tej chwili - odcięła się Elwira.

- Wpadłem tylko uprzedzić, że na trochę wychodzimy, ale po powrocie chętnie ci pomożemy znieść na dół ubrania kochanej Bessie.

- Same zajmujemy się rzeczami mojej siostry - odpowiedziała Elwira. - Nie musi pan zaprzętać sobie tym uwagi.

Z twarzy Bakera zniknął uśmiech.

- Niechący usłyszałem, że zamierza pani odwiedzić świadków, pani Meehan - warknął. - Chętnie dam pani ich numer telefonu. Przekona się pani, że to bardzo odpowiedzialni i godni zaufania ludzie. - Sięgnął do kieszeni. - Tak się składa, że mam przy sobie ich wizytówkę.

Wręczył Elwirze kartonik, potem odwrócił się i wyszedł, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi. Kobiety obejrzały się i patrzyły, jak drzwi wolno otwierają się z powrotem.

- Nie da się ich zamknąć - wyjaśniła Kate. - To jeden z tych fachowców, co to są mocni w gębie. Najwyraźniej zakręcił Bessie w głowie. Tymczasem on potrafi jednie malować i to wszystko. Zauważyłaś, że nawet nie nacisnął klamki? Wystarczyło, że pchnął. Kiedyś drzwi się zacinały, więc spiłował zamek i teraz w ogóle nie wchodzi do futryny. To samo w salonie. Mam same wahadłowe drzwi. - Prychnęła.

Elwira słuchała jednym uchem, patrząc na wizytówkę, którą wręczył jej Vic Baker.

- To firmowa wizytówka - zauważyła. - Gordonowie zajmują się handlem nieruchomościami. I co ty na to?

- Może nie umie naprawić drzwi, ale za to na pisaniu testamentów zna się świetnie - oświadczyła Elwira Willy'emu po południu, kiedy wrócił do domu i zastał ją w salonie. - Jim i Eileen wyglądają na czystych.

- Jak to się stało, że podpisali ten dokument?

- Z ich relacji wynika, że dość przypadkowo. Okazuje się, że Vic Baker od roku, czyli od swojego przybycia do Nowego Jorku, poszukiwał kamienicy albo mieszkania. Pokazali mu już wiele budynków. Trzydziestego umówił się z nimi na trzecią, na oglądanie kolejnego lokalu przy Osiemdziesiątej Pierwszej. Kiedy tam byli, zadzwoniła do niego na komórkę Linda. Powiedziała, że Bessie źle się poczuła i potrzebuje świadków do spisania swojej ostatniej woli. Vic spytał Gordonów, czy zechcieliby się tego podjąć, ci się zgodzili i... To najbardziej bolesna część.

Twierdzą, że Vic i Linda omal nie zemdleli, kiedy Bessie odczytała im testament przed podpisaniem.

- Skoro Gordonowie już wcześniej pokazywali Bakerowi mieszkania, musieli znać jego sytuację finansową - stwierdził Willy. - Spytałaś ich o to?

- Znali ją. Możesz wierzyć albo nie, ale Bakerowie są zamożni. - Elwira próbowała zmusić się do uśmiechu. - Kordelia bardzo dała ci dziś w kość?

- Harowałem bez chwili wytchnienia. W sklepie z używaną odzieżą pękła rura i żeby ją naprawić, musiałem spuścić całą wodę z kaloryferów. Całe szczęście, że to sobota i na górze nie było dzieci.

- Wkrótce to też przestanie nas obchodzić - westchnęła Elwira. - Jeśli moje szare komórki nie podpowiedzą mi, co w tej sprawie nie gra, dzieciaki w ogóle nie będą miały gdzie się podziać.

Włączyła magnetofonik ukryty w broszce, cofnęła taśmę i odtworzyła ostatni fragment nagrania. Łagodny głos Eileen Gordon brzmiał czysto i miło.

- Ostatnie słowa pani Maher brzmiały: „Teraz umrę w spokoju, ze świadomością, że mój dom pozostanie nieskalany”.

- Przysięgam, że kluczem do tajemnicy jest słowo „nieskalany”. - Z twarzy

Elwiry zniknęła bezsilność. - Jak brzmiało to powiedzenie księdza Ferrisa, gdy coś mu nie pasowało?

- „Coś się psuje w państwie duńskim” - odrzekł Willy. - O to ci chodzi?

- Właśnie. Choć w tym wypadku coś się psuje w Upper West Side. Będę nachodzić Gordonów i rozmawiać z nimi, dopóki nie odkryję, co. To przyzwoici ludzie, ale ich obecność przy podpisaniu testamentu wydaje mi się podejrzana. Może to doskonali aktorzy, a ja połknęłam ich łgarstwa.

- Skoro już o połykaniu mowa - wtrącił się Willy - to zjedźmy wczesną kolację, konam z głodu.

Właśnie wychodzili z domu, kiedy o wpół do siódmej zadzwonił ksiądz Ferris.

- Kate była w kościele - powiedział. - Podobno wybrałaś się na rozmowę ze świadkami. Jak poszło?

Elwira szybko zrelacjonowała spotkanie i zapewniła proboszcza, że się nie podda.

- Czy widział ksiądz znowu tę samą dziewczynę, która wczoraj stała przy kościele? - spytała jeszcze, zanim się pożegnali.

- Dziś pojawiła się dwukrotnie. Była na porannej mszy, ale wyszła w trakcie kazania. Najwyraźniej coś bardzo ją dręczy. Potem zauważyłem ją podczas wieczornego nabożeństwa, lecz nie zdążyłem z nią porozmawiać. Twierdzisz, że jej twarz wydała ci się znajoma? Nie wiesz, kim może być ta kobieta, albo gdzie ją wcześniej widziałaś? Bardzo chciałbym jej pomóc.

- Nadal się zastanawiam, wciąż jednak nie mogę sobie przypomnieć - odparła ze smutkiem Elwira. - Niech ksiądz da mi trochę czasu. Na pewno gdzieś widziałam jej zdjęcie, tylko nie pamiętam, gdzie.

Dwie godziny później, kiedy wracając z kolacji mijali Carnegie Hall, Elwira przerwała mężowi w połowie zdania i pokazała zdjęcie:

- Willy, spójrz. To ta dziewczyna.

Za szybą wisiał plakat zapowiadający bożonarodzeniowy koncert, wraz ze zdjęciami wykonawców: Placido Domingo, Kathleen Battle, Yo-Yo Ma, Emanuela Axa oraz Sondry Lewis.



Elwira i Willy podeszli bliżej i przeczytali podpis pod fotografią Sondry Lewis. Nawet na zdjęciu miała smutne oczy i się nie uśmiechała.

- Czemu dziewczyna, którą czeka debiut w Carnegie Hall, nie okazuje radości? - zastanawiał się zdumiony Willy.

- To musi mieć jakiś związek ze świętym Klemensem - stwierdziła jego żona. - I zamierzam się dowiedzieć, o co tu chodzi.

# Rozdział 12

Kiedy Stellina była malutka, spytała babcię, czemu nie ma mamy, jak inne dzieci. Nonna wyjaśniła, że mama powierzyła Stellinę tacie, bo kiedy ją urodziła, zachorowała i musiała wrócić do Kalifornii, aby się leczyć. Lilly dodała, że mamie było smutno, że musi zostawić córeczkę i obiecała wrócić, gdy tylko wyzdrowieje. Zdaniem babci dziewczynka nie powinna na to liczyć, bowiem najprawdopodobniej Pan Bóg zabrał jej mamę do siebie.

Aż wreszcie - kiedy Stellina zaczęła chodzić do szkoły - nonna pokazała jej srebrny kielich, który znalazła w szafie taty, i wyjaśniła, że mamie Stelliny podarował go jej wuj, ksiądz, a ona z kolei zostawiła go córeczce. Ten kielich, wyjaśniła jeszcze babcia - służył do odprawiania mszy i dlatego ma w sobie szczególne błogosławieństwo.

Kielich stał się talizmanem dziewczynki i czasem tuż przed snem, kiedy myślała o mamie i o tym, jak bardzo pragnęłaby ją zobaczyć, prosiła babcię, czy może go potrzymać.

Lilly wtedy trochę z niej żartowała.

- Dzieci wyrastają ze swoich przytulank, Stellino, a ty dopiero kiedy wyrosłaś na dużą pannę i zaczęłaś chodzić do szkoły, znalazłaś sobie taką „przytulankę”?

Ale zawsze się uśmiechała i nigdy nie zabraniała dziewczynce dotykać kielicha. Czasem po angielsku, czasem po włosku, a najczęściej w mieszance obu tych języków uspokajała swą cudowną Gwiazdkę, jedyny prawdziwy dar, który przyniósł jej nic niewart siostrzeniec.

- Ach, bambina - szeptała. - Zawsze będę się tobą opiekować.

Stellina nie przyznawała się babci, że gładząc palcami kielich, miała wrażenie, iż czuje na nim dotyk dłoni mamy.

Kiedy w niedzielę po południu przyglądała się, jak nonna szyje niebieski welon do jej stroju Maryi, wpadła na pewien pomysł. Spyta babcię, czy mogłaby wziąć kielich na przedstawienie i udawać, że jako Niepokalana ofiarowuje go Dzieciątku.

- Och, nie, Stellino - odrzekła babcia. - Jeszcze gdzieś zginie. Poza tym

Święta Dziewica nie miała srebra, które mogłaby dać Jezuskowi. To by nie było właściwe.

Dziewczynka się nie spierała, ale wiedziała, że musi jakoś namówić babcię, by pozwoliła jej zanieść kielich do stajenki. Doskonale wiedziała też, jaką wtedy odmówi modlitwę: „Jeśli moja mama nadal choruje, proszę, uzdrów ją i bardzo proszę, powiedz, żeby choć raz mnie odwiedziła”.

Detektywa Joego Tracy’ego z dwudziestego czwartego posterunku policji na Manhattanie bardzo zainteresował fakt, że Lenny Centino powrócił do miasta. Zapamiętał tego faceta z dochodzenia, które prowadził parę lat temu. Nie zdołał go umieścić na ławie oskarżonych za sprzedaż narkotyków

nieletnim, ale nie wątpił, że Lenny maczał w tym palce.

Partner Tracy'ego zwracał mu uwagę, że Lenny ma na swoim koncie tylko drobne przestępstwa - kilka nieznaczących włamań o małej szkodliwości społecznej - lecz zdaniem Tracy'ego, było tak wyłącznie dlatego, że nigdy go nie złapano.

- Dwadzieścia pięć lat temu odsiedział krótki wyrok w poprawczaku - tłumaczył Trący - ale tam nauczył się tylko nowych sposobów popełniania przestępstw. Kilkakrotnie go aresztowano, nigdy jednak nie został skazany. Nie zdołaliśmy zgromadzić przeciwko niemu dowodów, choć jestem przekonany, że rozprowadzał narkotyki wśród młodzieży szkolnej. Widywałem go, jak woził w wózku małą po całej West Side. Potem usłyszałem, że dziecko służyło mu za kamuflaż, w wózku córeczki przewoził towar.

Trący rzucił na biurko cienką teczkę Lenny'ego Centino.

- Skoro wrócił, będę miał na niego oko. A jeśli go zobaczę z małą dziewczynką, niewykluczone, że go zamknę. Kiedyś wreszcie popełni błąd, a ja wtedy będę w pobliżu.

# Rozdział 13

W poniedziałek rano Elwira i Willy jedli śniadanie, gdy zadzwonił telefon. Odebrała i ucieszyła się, słysząc głos swojego redaktora naczelnego, Charleya Evansa, który stwierdził, że choć Vica ani Lindy Baker nigdy za nic nie skazano, niewątpliwie jest to parka utalentowanych oszustów.

- Poczekaj chwilkę - przerwała. - Nagram to, żeby niczego nie uronić. Pobiegnę do sypialni po swoją broszkę-magnetofon, włączyła ją i z powrotem popędziła do telefonu.

- Wal, Charley - powiedziała, przysuwając mikrofon do słuchawki.

- Bakerowie czyhają na starszych, bogatych ludzi - podjął Charley. - Najświeższa sprawa to historia sprzed roku, z Charlestown. Zaprzyjaźnili się ze staruszką mającą kilka milionów dolarów. Zdaje się, że żywił jakieś pretensje do córki, gdyż nie odpowiadał mu zięć, ale nigdy nie dawał do zrozumienia, iż ją wydziedziczy. Świadkowie potwierdzają, że nasza parka opowiadała mu niestworzone historie o córce, o tym, że nie może się ona doczekać, kiedy otrzyma majątek ojca. I zgadnij, co się stało?

- Przedstawili nowy testament - domyśliła się Elwira.

- Zgadłaś. Stary zostawił córce parę groszy i biżuterię matki, a na reszcie położyli łapę Bakerowie. Byli na tyle sprytni, żeby się nie połaszczyć na wszystko, gdyż wtedy łatwiej by można podważyć nowy testament.

- A świadkowie podpisania ostatniej woli? - zapytała.

- Wszyscy to poważani obywatele miasta.

- Tak przypuszczałam - odrzekła z westchnieniem.

- Znalazłem parę podobnych historii z ostatnich dziesięciu lat, ale z grubsza już masz pojęcie, o co chodzi. Za każdym razem podważano testament, Bakerowie jednak zawsze wygrywali.

- Nie tym razem - zapewniła go Elwira.

- Oby, choćby ze względu na twoją przyjaciółkę, ale pozwól, że coś ci poradzę. Każ jej iść na Chambers Street pod numer 31 do sądu zajmującego się sprawami spadkowymi i zgłosić zamiar podważenia testamentu napisanego pod wpływem bezprawnego nacisku. W przeciwnym razie w ciągu paru dni albo paru tygodni, zależnie od sędziego, dokument nabierze mocy prawnej. Jeśli twoja przyjaciółka zgłosi protest, przynajmniej opóźni przekazanie majątku. Kto jest wykonawcą testamentu?

- Vic Baker.

- O wszystkim pomyśleli - stwierdził Charley. - Dobrze, Elwiro, daj mi znać, jeśli będę mógł do czegoś się przydać i pamiętaj, liczę na artykuł, gdy już się z tym uporasz.

- Spokojna głowa, nawet już mam dobry tytuł - odparła pewnym głosem. - Zapisz go sobie:

„Zdemaskowanie skunksów”.

Dziennikarz parsknął śmiechem.

- Do dzieła, Elwiro. Stawiam na ciebie.

Przy trzeciej filiżance herbaty Elwira streściła mężowi całą rozmowę.

- Spokojnie, kochanie - mitygował ją Willy. - Znam tę minę. Ta wysunięta broda nie wróży nic dobrego. Wiem, że będziesz robić, co w twojej mocy, ale obiecaj, że nie wystawisz się na niebezpieczeństwo. Jestem za stary i nie mogę ciągle pilnować, żeby ktoś nie zepchnął cię z tarasu albo nie utopił w wannie.

- Bakerowie nie posunęliby się do czegoś takiego - uspokoiła go żona. - To nie brutale, tylko spryciarze i kombinatorzy. Co Kordelia dziś dla ciebie przygotowała?

- „Mały Dom”. - Pokręcił głową. - Niestety, muszę przyznać rację inspektorom, ten budynek naprawdę się rozsypuje. Nie wszystko można naprawić za pomocą gumy do żucia albo kleju uniwersalnego, w końcu trzeba sięgnąć po ciężki sprzęt. Ale niezależnie od wszystkiego przynajmniej godzinę poćwiczę na fortepianie. Wczoraj, kiedy naprawiałem tam przeciek, Kordelia słyszała, jak bębnię „Najdłuższą noc” i wbiła sobie do głowy, że tą kolędą zakończą się jasełka, a ja ją zagram. Ubzdurała sobie, że mój przykład pokaże dzieciom, iż w każdym wieku można się nauczyć czegoś nowego.

- Wspaniały pomysł! - rozpromieniła się Elwira.

- Ja uważam go za idiotyczny, ale dzieci nie oceniają, a rodzice będą zwracać uwagę tylko na swoje pociechy, więc może nikt mnie nie zauważy... A co ty zamyślasz?

- Wpadnę do Kate. Wiesz, jak to jest. Po śmierci kogoś bliskiego, osoba, która została sama, budzi się po pogrzebie, i na nowo sobie uświadamia, że już nigdy nie zobaczy drogiej twarzy ani nie usłyszy kochanego głosu. Wtedy najbardziej potrzebujemy przyjaciół, a szczególnie Kate, która nie dość, że musi się uporać ze stratą Bessie, to jeszcze stawia czoło tym oszustom. Po wizycie u niej zajrzę do księdza Ferrisa powiedzieć, że odkryłam, kim jest młoda kobieta, kręcąca się przy kościele.

Jak zwykle energiczna, Elwira uporządkowała kuchnię, posłała łóżko, umyła się i ubrała w jeden z prostych, lecz niezwykle szykownych kompletów ze spodniami, które w czasie ostatniej podróży na Wschód pomogła jej wybrać serdeczna przyjaciółka, baronowa Min von Schreiber. Zdaniem Min - a bynajmniej go nie ukrywała - Elwirę za bardzo ciągnęło do najmniej odpowiednich dla niej kolorów i fasonów, ta zaś pokornie znosiła ową opinię.

Już miała wychodzić, lecz zatrzymała się jeszcze i chwilę słuchała, jak

Willy ćwiczy na fortepianie „Najdłuższą noc”. Z dumą skonstatowała, że gra coraz lepiej. Poruszała ustami, bezgłośnie śpiewając do wtóru. Werset „a ja w miłości rąbek cię owinę” potraktowała niemal jak modlitwę. Tak, czuwał nad tobą, Kate, pomyślała.

Zjawiwszy się u niej, z przerażeniem patrzyła na spokojną, lecz niewzruszoną przyjaciółkę, która oznajmiła, że po długim namyśle postanowiła znaleźć sobie inne mieszkanie, choćby tylko umeblowany pokój. Oświadczyła, że skoro zmarła oddała Bakerom dom, nie będzie się przeciwstawiać tej decyzji.

- Wprawdzie Bessie jasno wyraziła swoją wolę, zostawiając mi mieszkanie i dochód, ale nie mogę żyć pod jednym dachem z tymi ludźmi, Elwiro - ciągnęła Kate. - Na samą myśl, że moja siostra, choć rzeczywiście chora, mogła własnoręcznie wystukać na maszynie te słowa i pod moją nieobecność sprowadzić świadków... Mam wrażenie, że przeszywa mnie nóż.

- Kate, właśnie coś sobie uświadomiłam. Testament podpisano w poniedziałek, trzydziestego listopada, prawda? Ale sporządzono go dwudziestego ósmego listopada.

- Właśnie. Dzień po tym, jak Bessie powiedziała księdzu, że nie odpowiada jej perspektywa przerobienia domu na schronisko dla dzieci. Pomyśleć, że w ciągu weekendu żartowała sobie ze mnie, że będę musiała po nich sprzątać, a równocześnie, korzystając z mojej nieobecności, napisała nowy testament.

- Na jak długo wychodziłaś wtedy z domu? - spytała Elwira.

- Tylko na poranną mszę w sobotę i niedzielę. Ale Bessie umiała szybko pisać na maszynie. Pamiętasz, jak się tym szczyciła? Napisałaby testament w dwadzieścia minut.

- Och, Kate! - westchnęła Elwira.

Serce jej pękało, gdy patrzyła na starą przyjaciółkę, która całkowicie straciła chęć do walki. Przygarbione ramiona świadczyły o porażce, zgasł gdzieś ogień, który ożywiał tę drobną, lecz twardą kobietkę. Elwira wiedziała, że nie ma sensu się spierać - Kate podjęła decyzję. Pozostawało jedynie grać na zwłokę.

- Kate, proszę cię tylko o jedno. Pytałam tu i ówdzie o Bakerów i dowiedziałam się, że to znana para naciągaczy, tyle że nigdy ich nie aresztowano. Aż do tej pory. Daj mi czas do Bożego Narodzenia. Udowodnię, że Bessie nie sporządziła tego testamentu, a choć podpis wygląda na autentyczny, nawet jeśli podpisała, to nie wiedziała, o co chodzi w dokumencie.

Kate szeroko otworzyła oczy.

- Kochana, nie udowodnisz tego.

- Właśnie że tak - zapewniła Elwira z przekonaniem, którego nie czuła. - Nawet wiem, od czego zacząć. Kiedy tylko porozmawiam z księdzem

Ferrisem, udam się do Jamesa i Eileen Gordonów, powiem im, że szukam jakiegoś interesującego mieszkania. Tak więc ta para będzie mnie teraz często odwiedzać. Może są współnikami intrygi Bakerów, może zostali oszukani, tak czy owak - dotrę do prawdy!

# Rozdział 14

Lenny Centino nie trafił za kratki, bo nie był pazerny. Podejmował się tylko nieregularnych i niewielkich dostaw, dlatego też - z wyjątkiem niepożądanego zainteresowania, jakie wzbudził u detektywa Joego Tracy'ego - nigdy nie znalazł się na pierwszej pozycji listy podejrzanych żadnego policjanta. Poza tym nigdy nie sprzedawał narkotyków, a jedynie je dostarczał, dzięki czemu w razie wpadki dostałby mniejszy wyrok. Za towar płacono z góry, czyli przez ręce Lenny'ego nigdy nie przechodziły pieniądze. Tak u dealerów, jak i u klientów zdobył sobie opinię zaufanego muła, który nie podbierał narkotyków, dlatego też cieszył się dużym wzięciem.

Ponieważ jednak wolał ograniczać kontakty z niebezpiecznym i tak narkotykowym światkiem, pracował w porządnym sklepie monopolowym.

Przy okazji, dostarczając alkohole, oglądał mieszkania. Był utalentowanym włamywaczem. Zawsze obrabiał dom pod nieobecność mieszkańców i brał wyłącznie biżuterię oraz gotówkę.

Wcześniejsza, nader satysfakcjonująca kariera złodzieja skrzynek na datki dla biednych i ze świecami wotywnymi zakończyła się wraz ze skokiem na kościół świętego Klemensa. Cichy alarm i niezaplanowane uprowadzenie

Gwiazdki uświadomiły Lenny'emu, że za blisko ociera się o niebezpieczeństwo. Teraz nawet niewielkie parafie montowały w kościołach ciche alarmy.

Dlatego z niezachwianą wiarą w swą umiejętność spadania na cztery łapy dał znać starym znajomym, że wrócił do Nowego Jorku. W poniedziałek po południu przy paru piwach opowiadał z dumą, jak to od września pomagał w prowadzeniu lewego interesu z firmą komputerową. Nie wiedział jednak, że do grupy, przed którą tak się chwalił, przeniknął gliniarz w cywilu. Kiedy policjant złożył na posterunku raport detektywowi Tracy'emu, ten przejął sprawę i zaczął pilnować Lenny'ego - łącznie z podsłuchem. Policja z kolei nie wiedziała, że Lenny zawsze obawiał się takiej sytuacji i dlatego już wcześniej przygotowywał sobie odwrót. Z ostatniej roboty odłożył trochę grosza, załatwił sobie nowe papiery i kryjówkę w Meksyku. Jednak po powrocie do Nowego Jorku dorzucił do planu dodatkowy element. Ciotka Lilly umierała. Lenny szczerze polubił Gwiazdkę, gdyż zawsze mu się przydawała w prowadzeniu interesów. Traktował dziewczynkę jak maskotkę, tak więc postanowił, że zabierze małą, gdyby musiał uciekać z kraju. W końcu nie na próżno tak często powtarzał sobie w duchu: Jestem jej ojcem, nie powinienem zostawiać córki na pastwę losu.

Niewypowiedziana na głos, ale za to bardziej przekonująca była świadomość, że mężczyzny podróżującego z małą dziewczynką nikt nie uzna za uciekającego przestępcę.

# Rozdział 15

Sondra obiecała sobie, iż nigdy już nie zajrzy do kościoła świętego Klemensa. Gdyby nie to, że dziadek miał przyjechać na koncert, poszłaby na policję. Nie mogła dłużej tak żyć. Jeśli w ciągu owych paru minut ktoś znalazł dziecko, przeczytał liścik i postanowił je zatrzymać, możliwe, że jej córeczka wychowuje się w Nowym Jorku z podrobioną metryką urodzenia. Bez trudu można by wmówić, że dziecko przyszło na świat w domu. W hotelu, w którym wówczas mieszkała, nikt się nie zorientował, że urodziła. W ogóle nie miała wtedy bólów.

Cierpienie przyszło dopiero później, myślała, nie mogąc usnąć w niedzielną noc. Wschodziło słońce, kiedy wreszcie się zdrzemnęła. Przespała zaledwie parę godzin i obudziła się z koszmarną migreną.

Wstała i automatycznie włożyła dres. Bieganie pomoże jej wrócić do formy. Trzeba się skupić na grze. Tyle już zepsuła, nie wolno dodawać do tej listy zaprzepaszczenia własnej szansy na koncercie, na który tak czekał dziadek.

Obiecała sobie, że będzie dziś biegać tylko po Central Parku, lecz gdy zbliżyła się do północnej strony, nogi same skręciły na zachód. Po paru minutach stała na wprost kościoła świętego Klemensa i znowu odtwarzała w pamięci chwilę, kiedy ostatni raz trzymała w ramionach córeczkę.

Trochę się ociepliło, na ulicy pojawiło się więcej przechodniów. Nie powinna tu sterczeć i zwracać na siebie uwagi. Po wtorkowym śniegu i mrozie przyszła odwilż, na ulicy leżała bura breja.

Tamtej nocy było bardzo zimno, dobrze to pamiętała, a po obu stronach ulicy zalegał lodowaty śnieg. Używany wózek, który kupiła, miał z boku płamę. Wyszorowała go w środku, ale brzydziła się na myśl, że musi do niego położyć córeczkę. Ktoś w hotelu wyrzucił papierową torbę na zakupy, wykorzystwała ją więc jako dodatkową ochronę przed mrozem. Pamiętała, że było na niej logo sklepu Sloan. Butelki i mleko kupiła w aptece Duane Reade.

Sondra poczuła, że ktoś klepie ją w ramię. Odwróciła się zaskoczona i zobaczyła życzliwą twarz pulchnej, rudej, może sześćdziesięcioletniej kobiety.

- Potrzebujesz pomocy, Sondro - odezwała się łagodnie. - I właśnie ci ją proponuję.

Wróciły taksówką na Central Park South. W mieszkaniu Elwira zaparzyła herbatę i wrzuciła do tosterka chleb.

- Założę się, że nie miałaś dziś nic w ustach - powiedziała.

Sondra poczuła łzy wzbierające pod powiekami, więc tylko skinęła głową. Czowała się trochę jak we śnie, a przy tym ogarnęła ją niewysłowiona ulga. W tym obcym mieszkaniu, w towarzystwie nieznajomej kobiety było jej tak dobrze.

Wiedziała, że opowie Elwirze Meehan o dziecku, a samo zachowanie gospodyni wskazywało, że



ta znajdzie jakieś wyjście.

\*

- Posłuchaj, Sondro - tłumaczyła jej Elwira dwadzieścia minut później. - Przede wszystkim przestań się zadręczać. To się wydarzyło siedem lat temu, a wtedy sama byłaś jeszcze dzieckiem. Nie miałaś matki i czułaś się odpowiedzialna za dziadka. Zostałaś sama z dzieckiem, ale zatroszczyłaś się o nie i wszystko dobrze zaplanowałaś. Przygotowałaś ubranka, mleko, butelki, oszczędzałaś każdy grosz, żeby maleństwo urodziło się w Nowym Jorku, bo wiedziałaś, że kiedyś chciałabyś tu zamieszkać. Ubrałaś ciepło córeczkę i otuloną, bezpieczną, zostawiłaś w wózku pod drzwiami kościoła. Wybrałaś świątynię, w której twój dziadek pogodził się ze świadomością, że choroba przekreśliła jego szanse na karierę skrzypka. Niecałe pięć minut później zadzwoniłaś na plebanie i sądziłaś, że ktoś już znalazł noworodka.

- Tak - odrzekła Sondra. - Ale jeśli jakieś dzieciaki dla zabawy wzięły ten wózek? A jeśli malutka zamarła na śmierć, ktoś ją znalazł i nie chciał, żeby wina spadła na niego? A jeśli...

- A jeśli trafiła do jakichś dobrych ludzi i stała się światłem ich życia? - dokończyła Elwira z przekonaniem, którego nie czuła.

Dobrzy ludzie zawiadomiliby policję, a potem wystąpiliby z wnioskiem o adopcję. Z pewnością nie trzymaliby sprawy w tajemnicy przez tyle lat.

- Nie mogę żądać niczego więcej - powiedziała Sondra. - Nie zasługuję na nic więcej, bo... po prostu nie.

- Zasługujesz na znacznie więcej, niż ci się wydaje. Nie osądzaj siebie tak surowo - odparła żywo Elwira. - A teraz skoncentruj się na ćwiczeniach, by sprawić przyjemność nowojorskim melomanom, śledztwo zaś pozostaw mnie. Wiesz, jak ślicznie wyglądasz, kiedy się uśmiechasz? - dodała spontanicznie. - Musisz częściej to robić, słyszysz?

Wypiły kolejną filiżankę herbaty i krok po kroku wyciągnęła z dziewczyny całą opowieść.

- Wyobrażasz sobie, co czuł mój dziadek: samotnik, krytyk muzyczny i nauczyciel gry na skrzypcach, kiedy nagle musiał zająć się wychowaniem dziesięciolatki? - spytała Sondra z lekkim uśmiechem. - Miał bardzo ładne czteropokojowe mieszkanie w dobrej kamienicy nad jeziorem Michigan w

Chicago, ale mimo wszystko maleńkie. Nie stać go było na nic większego.

- Co zrobił, kiedy z nim zamieszkałaś? - dążyła Elwira.

- Zmienił dla mnie całe swoje życie. W pokoju do ćwiczeń urządził sobie sypialnię, a mnie oddał swoją. Ilekroć wychodził na dłużej, opłacał dla mnie opiekunkę, która również gotowała jedzenie. A dziadek prowadził ożywione życie towarzyskie, często umawiał się na kolację z przyjaciółmi i, naturalnie, uczęszczał na koncerty. Zrezygnował dla mnie z wielu swoich ulubionych rozrywek.

- Znowu zbyt surowo się oceniasz - przerwała jej Elwira. - Na pewno czuł się samotny, dopóki ty się nie zjawiałaś. Twoja obecność niewątpliwie przynosiła mu wiele radości.

Sondra uśmiechnęła się szerzej.

- Niewykluczone, ale moje towarzystwo pozbawiło go możliwości swobodnego dysponowania własnym czasem i wielu drobnych luksusów, do których przywykł. - Jej uśmiech zgasł. - Zapewne po części mu to zrekompensowałam. Wyrosłam na dobrą skrzypaczkę.

- Bingo! Wreszcie powiedziałaś coś dobrego o sobie. Dziewczyna się roześmiała.

- Potrafisz bardzo obrazowo się wyrażać.

- To samo twierdzi redaktor naczelny „New York Globe” - przytaknęła Elwira. - W porządku,

rozumiem sytuację. Uważałaś, że musisz odnieść sukces, zdobyłaś stypendium, spotkałaś kogoś interesującego i utalentowanego. Dopiero co skończyłaś osiemnaście lat i zakochałaś się w owym mężczyźnie. Zapewne mówił, że za tobą szaleje, a jego słowa, spójrzmy prawdzie w oczy, padły na podatny grunt. Nie miałaś rodziców ani rodzeństwa, tylko dziadka, który właśnie zaczął chorować. Dobrze zrozumiałam?

- Tak.

- Ciąg dalszy już znamy, więc przeskoczmy do teraźniejszości. Ktoś tak utalentowany i śliczny jak ty na pewno nie żyje w samotności. Znalazłaś chłopca?

- Nie.

- Za szybko odpowiedziałaś, Sondro, co oznacza, że jednak kogoś masz. Kto to?

Zapadło długie milczenie.

- Gary Willis. Zasiada w zarządzie chicagowskiej orkiestry symfonicznej - wyjawiała niechętnie dziewczyna. - Ma trzydzieści cztery lata, o osiem więcej niż ja. Odniósł wielki sukces, jest przystojny, bardzo miły i chciałby się ze mną ożenić.

- Czyli wszystko gra - podsumowała Elwira. - A czy ty coś do niego czujesz?

- Mogłabym. Tyle że nie dojrzałam jeszcze do małżeństwa. Zdaję sobie sprawę, że w tym momencie za dużo się we mnie kłębi. Obawiam się, że gdybym faktycznie wyszła za mąż, nie mogłabym patrzeć na swoje dzieci, nie przypominając sobie równocześnie, że zostawiłam na mrozie noworodka, w papierowej torbie. Gary okazuje mi wiele wyrozumiałości i cierpliwości. Poznasz go, przywiezie dziadka na koncert.

- Już mi się podoba - odpowiedziała Elwira. - Nie zapominaj, moja droga, że dziś dziewięćdziesiąt procent kobiet pragnie pogodzić małżeństwo z rodziną i pracą zawodową. Ja też tak robiłam.

Dziewczyna rozejrzała się po gustownie umeblowanym mieszkaniu, podziwiając cudowny widok na Central Park.

- Czym się zajmujesz, Elwiro?

- W tej chwili? Wydawaniem pieniędzy z mojej wygranej na loterii, poza tym rozwiązuję różne problemy i pisuję do „New York Globe”. A trzy lata temu byłam doskonałą sprzątaczką.

Chichot Sondry świadczył, że dziewczyna nie wie, czy ma w to wierzyć, czy też potraktować jak żart, ale Elwira nie kontynuowała tego tematu. Jeszcze zdążymy omówić dzieje mojego życia, pomyślała.

Wstały.

- Muszę iść poćwiczyć - odezwała się Sondra. - Na koncercie zjawi się dziś tak sławny profesor, że młodych muzyków jak ja na sam dźwięk jego nazwiska przechodzą dreszcze.

- W takim razie daj z siebie wszystko, a ja zastanowię się, jak odnaleźć twoje dziecko tak, aby nikt się nie zorientował, w którym imieniu występuję. Obiecuję, iż będę dzwonić codziennie.

- Elwiro, na tydzień przed koncertem przyjadą tutaj dziadek i Gary. Dziadek na pewno będzie chciał się wybrać do świętego Klemensa. Zmartwi się, gdy usłyszy o kradzieży kielicha biskupa Santoriego. Ale gdybyśmy wtedy trafili na księdza Ferrisa, czy możesz wcześniej opowiedzieć mu o naszej rozmowie i poprosić, by za nic nie wspominał dziadkowi, że tam się kręciłam?

- Oczywiście - szybko zapewniła ją pani domu.

Kiedy przechodziły przez salon, Sondra zatrzymała się przy fortepianie, na którym leżał „Podręcznik dla początkujących dorosłych” Johna Thompsona, otwarty na „Najdłuższej nocy”.

Zatrzymała się i jedną ręką zagrała melodię.

- Zapomniałam już tę kolędę. Prawda, że śliczna? - Nie czekając na odpowiedź, powtórnie zagrała i cicho zanuciła: - „Niech sen spokojny śni się Dzieciąteczku przez całą noc, Anioł Stróż czuwa przy żłóbeczku, przez całą długą noc...” - Urwała. - Pasuje, prawda? - Głos jej zadrżał. - Mam nadzieję, że tamtej nocy moje dziecko znalazło jakiegoś anioła stróża. - Wyglądała, jakby jej się zbierało na płacz.

- Zadzwoń! - obiecała Elwira, gdy dziewczyna pobiegła do drzwi.

# Rozdział 16

To już wszystko, Kordelio? - spytał zmęczony Willy. - Obie toalety działają, ale powiedz dzieciom, żeby nie wrzucały do nich całych rolek papieru. Te rury już swoje odsłużyły. I ja czuję się identycznie - dodał z westchnieniem.

- Nonsens - ucięła zdecydowanie zakonnica. - Nadal jesteś młody, Williamie. Poczekaj, aż będziesz w moim wieku.

Rodzeństwo dzieliło dziesięć lat.

- Kordelio, ty nawet jako stuletnia seniorka będziesz miała więcej energii niż twój podopieczni.

- Właśnie, powinnam obejrzeć próbę jasełek. Chodźmy na górę. Niedługo dzieci porozchodzą się do domów.

Kordelia chwyciła brata za ramię i popchnęła go w stronę schodów. Dochodziła za piętnaście szóstą i próba jasełek trwała w najlepsze. Właśnie doszli do finałowej sceny w stajence. Poważna Stellina klęczała naprzeciwko psotnego Jerry'ego Nuñeza, pochylając się nad złożonym kocem, który zastępował żłóbek dzieciątka Jezus.

Z lewej strony zbliżali się trzej królowie, prowadzeni przez Jose Diaza, a prawej pastuszkowie.

- Wolniej - poleciła siostra Kordelia. Podniosła i opuściła ręce. - Po jednym kroczku. Nie przepychajcie się, dzieci! Jerry, patrz w dół. Masz spoglądać na Dzieciątka, a nie na pasterzy. Willy, zagraj kolędę na zakończenie.

- Kordelio, zostawiłem nuty w domu. Nie spodziewałem się, że to tyle potrwa.

- W takim razie tylko zaśpiewaj. Bóg dał ci piękny głos. Zaczynaj bardzo cicho, tak jak wtedy, gdy akompaniujesz sobie na fortepianie, a potem głośniej. Dzieci będą się kolejno przyłączać. Najpierw Stellina i Jerry, następnie monarchowie z pastuszkami, a na końcu chór.

Willy wiedział, że z siostrą lepiej się nie sprzeczać.

- Niech sen spokojny śni się Dzieciąteczku... zaczął.

- José, jeśli przewrócisz Denny'ego, obedrę cię ze skóry - przerwała siostra Kordelia. - Jeszcze raz, Willy.

Przy słowach: „Anioł Stróż czuwa przy żłóbeczku” włączyli się Stellina i

Jerry. Ich dziecięce głosiki - słodkie i szczerze - pięknie współbrzmiały z tenorem Willy'ego. Wspólnie zaśpiewali następne dwie linijki.

Jakież cudowny głos ma ta mała, pomyślał Willy, słuchając śpiewu Stelliny.

Założę się, że to słuch absolutny. Popatrzył w jej poważne, ciemnobrązowe oczy. Siedmiolatka nie powinna wyglądać tak smutno, zauważył w duchu, kiedy trzej królowie, pastuszkowie, a w końcu cała grupa podjęli: „Cicho się skrada snu godzina, sen spowił wzgórze i dolinę na całą noc, a ja w miłości rąbek cię owinę, na całą noc, najdłuższą noc”.

Gdy skończyli, Willy, siostry Kordelia i Maeve Maria oraz grupka wolontariuszy nagrodzili ich

gorącymi oklaskami.

- Spiszcie się równie dobrze za dwa tygodnie, na prawdziwym przedstawieniu, a wszyscy będziemy zachwyceni - powiedziała Kordelia małym aktorom. - A teraz wkładajcie kurtki i czapki, tylko nie pozamieniajcie ubrań. Lada chwila zjawią się po was rodzice, nie kaźcie im czekać. Pracowali cały dzień, teraz są zmęczeni. I dodajmy, że ja również - zwróciła się do brata.

- Świadomość, że nawet ty ulegasz zmęczeniu, podnosi mnie na duchu - odrzekł. - Niech będzie, skoro już tak długo tu siedziałem, zostaną jeszcze i pomogę ci w sprzątaniu.

Dwadzieścia minut później wraz z obiema zakonnicami czekał w drzwiach na panią Nuñez, odbierającą Stellinę i Jerry'ego. Wpadła zadyszana i skruszona, ale uciszyli jej przeprosiny.

Siostra Kordelia odciągnęła przybyłą na bok.

- Jak się czuje babcia Stelliny? - spytała.

- Nie najlepiej - szepnęła kobieta, kręcąc głową. - Podejrzewam, że jeszcze w tym tygodniu trafi do szpitala. - Szybko się przeżegnała. - Przynajmniej dobrze, że zjawił się ojciec małej. Zawsze to już coś. - Prychnęła, jasno dając do zrozumienia, jak niewielką wiarę w nim pokłada.

- Biedna mała - odezwała się Kordelia, kiedy już pani Nuñez odeszła z dziećmi. - Matka porzuciła ją tuż po urodzeniu. Teraz dziewczynka straci babcię, która ją wychowała, a ojciec nieszczególnie się interesuje córką. O ile mi wiadomo, to niebieski ptak.

- Oby tylko - wtrąciła siostra Maeve Maria.

W piątek wieczorem zjawił się tu po nią, kiedy już wszyscy poszli. Uznałam, że wygląda podejrzanie, dlatego popytałam starych znajomych na posterunku.

- Nie zapomniało się o dawnych zainteresowaniach, pani inspektor? - spytał Willy.

- I często się przydają. Jeśli wierzyć pogłoskom, to pan Centino prosi się o kłopoty.

- Co oznacza, że ta słodka dziewczynka może trafić do rodziny zastępczej albo nawet do wielu rodzin - westchnęła smutno siostra Kordelia. - A za parę tygodni i tak nie będziemy już mogły się nią opiekować. Trudno, dość myślenia o troskach. Wracaj do domu, bracie. Wspaniale się spisalesz, zgłoś się po wypłatę pod koniec tygodnia.

- Bardzo śmieszne - uśmiechnął się Willy.

To był jej stały dowcip. Po wyjściu z budynku jeszcze chwilę stali na chodniku.

- Wypijcie po kieliszku wina i odprężcie się - poradził Willy zakonnicom. -

Zaprosiłbym was na kolację, ale od południa nie rozmawiałem z Elwirą, więc nie wiem, kiedy coś zjemy, ponieważ odgrażała się, że do późna będzie oglądać mieszkania.

Kordelia spojrzała na niego zaskoczona.

- Żartujesz. Sądziłam, że przepadacie za swoim obecnym apartamentem. Elwira zawsze twierdziła, że nie ruszy się z niego aż do śmierci. Nie mów, że na poważnie zamierza kupić nowe lokum.

- Oczywiście, że nie - uspokoił ją brat. - Chce po prostu lepiej poznać świadków, którzy podpisali testament Bessie. Liczy, że jeśli często będzie się z nimi spotykać, zorientuje się, na czym polega szwindel z ich podpisami. Na mnie już czas. Świetnie się spisałyście, dziewczęta, jasełka będą fantastyczne. Zaproście burmistrza, niech zobaczy, jak wspaniale sobie radzicie.

Komplement ów nie rozproszył jednak smutku, który zagościł na ich twarzach, a po powrocie do domu Willy'ego powitała równie zatroskana

Elwira.

- Zdarłam zelówki, oglądając przez całe popołudnie mieszkania z Eileen

Gordon - oznajmiła.

- Dowiedziałaś się czegoś?

- Tak, to czarująca kobieta i dałabym sobie odciąć głowę, iż nie wypiłaby łyka wody, która by do niej nie należała, nawet gdyby miała umrzeć z pragnienia.

- To znaczy, że najprawdopodobniej Bakerowie zrobili w konia ją i jej męża - oświadczył rzeczowo Willy.

- Tak, choć liczyłam, że ci dwoje też okażą się oszustami. Łatwiej jest złapać w pułapkę oszusta, niż przekonać niewinnego, postronnego obserwatora, iż został wyprowadzony w pole - odrzekła Elwira z westchnieniem.

# Rozdział 17

Związki księdza Thomasa Ferrisa z parafią świętego Klemensa zaczęły się już czterdzieści lat temu, kiedy przyszedł tu jako świeżo wyświęcony neoprezbiter. Po siedmiu latach przeniesiono go do parafii w Bronksie, a potem pracował u kardynała w kurii. Dziesięć lat temu wrócił do świętego Klemensa jako proboszcz i liczył, że właśnie tutaj pozostanie aż do końca. Czuł się bardzo związany ze swoją parafią. Był dumny z kościoła - jego historii i ważnego miejsca w całej wspólnoty. Tylko jeden incydent rzucił cień na działalność księdza Ferrisa i aż do tej pory nie dawał mu spokoju - a mianowicie kradzież kielicha biskupa Santoriego.

- Czuję się winny, bo to ja wtedy zamykałem drzwi - mówił do pozostałych księży, którzy wiedzieli, jak ciężko przeżył ową stratę. - Ostrzegano nas, że ktoś się włamuje do kościołów, lecz to zlekceważyliśmy. Oczywiście mieliśmy założony alarm na drzwiach i w oknach, lecz to nie wystarczyło. Należało zainstalować wykrywacz ruchu. Myślałem o tym, ale ciągle nie mogłem się zdecydować.

Gablotka z kielichem biskupa była wprawdzie podłączona do cichego alarmu, jednak urządzenie zawiodło, gdyż złodziej ukrył się w kościele.

Zanim pojawiła się policja, zdążył uciec wraz z łupem.

Ksiądz Tom szczególnie boleśnie odczuwał tę stratę w okresie Bożego Narodzenia, bo kielich ukradziono podczas adwentu. Oczywiście przez cały rok modlił się wraz z parafianami o jego odnalezienie, ale w tym czasie modlił się wyjątkowo żarliwie.

Niektórzy po prostu rodzą się święci - tak uważał Tom Ferris. Zawsze twierdził, że przychodzą na świat z wrodzoną dobrocią, którą stale, w każdej sytuacji promieniują. Poznał biskupa Santoriego u kresu jego życia, kiedy duchowny już wycofał się z działalności publicznej. Biskup mieszkał w parafii świętego Klemensa aż do śmierci.

Zdaniem Ferrisa otaczała go aura świętości. Tak samo jak kardynała

Cooke'a.

Zamykając kościół w poniedziałek wieczorem, proboszcz przeszedł obok konfesjonału. To tam musiał się wtedy ukryć złodziej, pomyślał. Jeśli polował na brylant z kielicha, pozostaje się modlić, żeby samo naczynie nie trafiło na śmietnik.

Nie wierzył, by kielich zniszczono. Ostatnio nawet przyszło mu do głowy, iż doszło do kradzieży, ponieważ cennego naczynia potrzebowano gdzie indziej i że z dala od świętego Klemensa wypełnia jakąś ważniejszą misję.

Wyszedł z kościoła, zamknął drzwi i automatycznie spojrzął na drugą stronę, ciekawy, czy owa tajemnicza młoda kobieta znowu się tam nie pojawi. Okazało się, że nie. Poczł przelotne ukłucie

żału. Liczył, że wróci. Wielokrotnie zdarzało się, iż ktoś krążył wokół kościoła, lękając się pozbyć ciężaru, aż wreszcie zdobywał się na odwagę i podchodził do księdza. „Ojcze, potrzebuję pomocy” - brzmiało zwykle pierwsze zdanie.

Gospodyni zostawiła mu w piekarniku kolację. Wikary już wyszedł, więc

Tom Ferris miał luksus poczytania w spokoju przy prostym posiłku i kieliszku wina. Kiedy zjadł, karnie umył naczynia i wstawił je do zmywarki, z lekkim rozbawieniem wspominając dawne czasy, gdy proboszcz - zwykle nazywany przez sześciu albo siedmiu wikarych „szefem” - władał parafią niczym monarcha absolutny, a na plebanii rządziła gospodyni, która gotowała jak marzenie i trzy razy dziennie serwowała pyszne dania.

Dopiero przy kawie spokój jego wieczoru zakłócił telefon od Elwiry.

- Księżo Tomie, potrzebuję pomocy. Moja przyjaciółka boryka się z ogromnym problemem, a choć chyba znalazłam rozwiązanie, powinnam to z księdzem uzgodnić. Piszę artykuł o młodej dziewczynie, która siedem lat temu urodziła dziecko i zostawiła noworodka pod drzwiami plebanii. - Zawiesiła głos. - A mówię o tym, ponieważ chodzi o plebanie księdza.

- Elwiro, nic takiego nie miało miejsca!

- Owszem, miało, tyle że ksiądz nic nie wiedział. Jestem przekonana, że to naprawdę się wydarzyło. Redaktor umieści tę historię na pierwszej stronie gazety, a ponieważ musimy zachować incognito matki, chciałabym, żeby ewentualni informatorzy dzwoniли do księdza. W końcu chodzi o waszą plebanie. Zaproponuję dużą nagrodę za wiadomość o dziecku. Ksiądz musi tylko odbierać telefony.

- Nie tak szybko, Elwiro.

- Muszę. To idealny moment na taki artykuł. Przed świętami ludzie bardziej zwracają uwagę na takie historie, a poza tym dziecko właśnie skończyło siedem lat. Piszę artykuł i chcę się upewnić, czy wyrazi ksiądz zgodę na podanie jego nazwiska jako pośrednika.

- Najpierw musiałbym przeczytać ów tekst - odrzekł ostrożnie.

- Naturalnie. Jesteśmy wdzięczne za współpracę. Przepraszam, że tak ci się narzucam, ale liczymy, że artykuł i wysokość nagrody zwrócą ogólną uwagę. Mamy nadzieję, że odnajdziemy dziewczynkę, ale będzie lepiej, jeśli nie zdradzimy nazwiska matki, aby jakiś nadgorliwiec nie postanowił przykładowo jej ukarać, pozywając biedaczkę do sądu za porzucenie dziecka. Jak proboszcz uważa, czy lepiej będzie, jeśli ksiądz też nie będzie wiedział, o kogo chodzi?

- Muszę się zastanowić.

- Dla mnie to nie problem - ciągnęła Elwira. - Zawsze mogę się zasłonić tajemnicą dziennikarską.

Ja też mógłbym odmówić zdradzenia jej nazwiska, pomyślał Ferris, ale nie można się zasłaniać tajemnicą spowiedzi wedle własnego widzimisię.

- Powoli, Elwiro. Twierdziłaś, że to się wydarzyło niemal dokładnie siedem lat temu. Mówisz o owej nocy, gdy skradziono kielich? Czy wtedy zostawiono tu dziecko?

- Na to wygląda. Kiedy matka zadzwoniła na plebanie, telefon odebrał rezydent. Chciała rozmawiać z proboszczem, ale wyjaśnił, że właśnie przyjechała policja w pewnej ważnej sprawie i ksiądz z nimi rozmawia. Ta kobieta sądziła, że już znaleźliście dziecko.

Proboszcz podjął decyzję.

- Pisz swój artykuł. Masz moje poparcie.



W zamyśleniu odłożył słuchawkę. Czy to możliwe, że ten, kto zabrał dziecko, widział, jak rabuś wymyka się z kościoła i umiałby podać chociaż przybliżony rysopis złodzieja? Być może pomagając biednej matce, ksiądz zdoła też znaleźć odpowiedź na nękające go pytanie o los kielicha.

# Rozdział 18

Za każdym razem gdy Kate Durkin wchodziła do pokoju Bessie, czuła wyraźnie, że coś jej tu nie pasuje, lecz nadal nie potrafiła określić, co. Zmęczona nurtującym ją niepokojem, w końcu pomodliła się do świętego Antoniego o pomoc w zauważeniu tego, co jej się wymyka.

Zwykle prosiła o odnalezienie bardziej materialnych zgub: okularów, notatnika lub jedynej „prawdziwej” biżuterii czyli pierścionka zaręczynowego matki od Tiffany’ego, z dużym brylantem. Wtedy święty Antoni potrzebował dwóch tygodni na przypomnienie Kate, że schowała pierścionek w pustej butelce po aspirynie, kiedy razem z Bessie wyjechały na wycieczkę emerytów do Williamsburga.

Widzisz, święty Antoni, tłumaczyła mu w myślach, wkładając starannie złożoną bieliznę do pudła na łóżku, niewykluczone, że Elwira miała rację i

Bakerowie faktycznie omotali Bessie, a mnie pozbawili domu. Oczywiście nie jestem pewna, czy to prawda, ale niepokoję się, bo ilekroć wchodzę do pokoju i patrzę na biurko ze starą maszyną do pisania Bessie, w mojej głowie rozlega się sygnał alarmowy.

Zauważyła oczko w parze zwiniętych pończoch.

- Biedna Bessie - powiedziała na głos. - Słabł jej wzrok, lecz nie zgodziła się na kupno nowych okularów. Twierdziła, że szkoda pieniędzy, bo najprawdopodobniej i tak nie dożyje do Bożego Narodzenia.

No i miała rację, zakończyła w duchu z westchnieniem i sięgnęła do następnej szuflady po proste i skromne flanelowe koszule nocne. Jedna z nich była pognieciona.

- Wielkie nieba - mruknęła Kate. - Biedna Bessie pewnie schowała ją z powrotem na miejsce, zapomniawszy, że już w niej spała.

Pokręciła głową i starła ślad pudru z różowej koszuli w kwiatki, ozdobionej przy szyi koronką.

- Upiorę ją przed oddaniem - postanowiła. - Bessie by się ucieszyła. Wzruszyła ramionami. Nic dziwnego, że siostra włożyła tę koszulę, a potem ją zdjęła, myślała. Nigdy nie lubiła koronek. Twierdziła, że drapią w szyję. Dziwię się, że w ogóle to włożyła!

Stała z koszulą w ręku, kiedy jej uwagę zwrócił jakiś szmer. Obejrzała się szybko. I znowu w drzwiach stał Vic Baker, obserwując ją z uwagą.

- Szykuję ubrania mojej siostry. Zamierzam oddać je dla biednych - powiedziała ostro. - Chyba że pan i jego żona zamierzają sobie również przywłaszczyć jej koszule nocne.

Vic odwrócił się bez słowa.

Ten człowiek budzi we mnie przerażenie, pomyślała zdenerwowana Kate. Ma w sobie coś groźnego. Będę się cieszyć, gdy się stąd wyprowadzę.

Tego wieczoru, podszedłszy do pralki, ze zdziwieniem stwierdziła, że należąca do Bessie koszula nocna w różowe kwiatki zniknęła ze stosiku ubrań przygotowanych do prania.

Chyba już tracę rozum, pomyślała. Przysięgłabym, że ją tu przyniosłam. Widocznie jednak zapakowałam koszulę z innymi rzeczami. Do licha, teraz będę musiała przeszukać wszystkie pudła.

# Rozdział 19

W piątek, jedenastego grudnia, na pierwszej stronie „New York Globe” ukazała się opowieść Elwiry o dziecku, porzuconym na progu plebanii parafii świętego Klemensa. Niemal od pierwszej chwili rozdzwonił się specjalny numer telefonu, w pośpiechu zainstalowanego przez proboszcza.

Zaufana pomocnica odbierała telefony, informując rozmówców, że wszystko nagrywa; łączyła ich z księdzem, jeśli uważała, że mogą wnieść coś do sprawy. Mimo to jednak w poniedziałek proboszcz zadzwonił do Elwiry przygnębiony.

- Z ponad dwustu telefonów, jakie otrzymaliśmy, żaden w niczym nie pomógł. Niestety, najczęściej dzwonili oburzeni stróże moralności, niemający litości dla matki, która zostawiła maleństwo na mrozie, nawet na parę minut.

- A czy zjawiała się też policja? - spytała Elwira.

- Zgłosiło się tylko biuro opieki społecznej; pracownica, z którą rozmawiałem, nie była zachwycona całą sprawą, wierz mi. Ustaliliśmy tylko jedno: w archiwach nie ma informacji o porzuconym, żywym ani martwym noworodku płci żeńskiej, znalezionym w tamtych dniach w Nowym Jorku.

- To też już coś - westchnęła Elwira. - Jestem jednak trochę rozczarowana, że nie wpadliśmy na żaden trop. Sądziłam, iż to doskonały pomysł i wkrótce się czegoś dowiemy.

- Ja również - zgodził się duchowny. - Jak się czuje owa matka? Wyobraź sobie, domyśliłem się, że to zapewne tamta młoda kobieta, która w ubiegłym tygodniu tak często pojawiała się w pobliżu kościoła.

- Ale chyba z czystym sumieniem może ksiądz powiedzieć, że nie wie, kim ona jest? - spytała zatroskana Elwira.

Jak zwykle nagrywała rozmowę, w razie gdyby proboszcz powiedział coś, co za pierwszym razem jej umknęło.

- Nie musisz wyłączać mikrofonu. Nie wiem, kto to, ani nie chcę wiedzieć.

A właśnie, cóż cię tak zachęciło do poszukiwań nowego mieszkania?

- Nie czuję już nóg - wyznała Elwira. - Gordonowie to mili ludzie, ale powiem księdzu, że chociaż może i znają się na handlu nieruchomościami, to nie są najmądrzejszymi istotami, jakie stworzył Pan Bóg. Potrafią zaprowadzić człowieka do jakiejś nory i wmawiać, że to czarujące mieszkanko. A najbardziej niewiarygodne jest to, że naprawdę w to wierzą. A potem podniecają się, kiedy mówią, że zamiast miliona dwustu tysięcy, których żądał właściciel, można je kupić zaledwie za dziewięćset tysięcy.

- Ludzie handlujący nieruchomościami muszą z entuzjazmem się wyrażać o sprzedawanych

lokalach, Elwiro - tłumaczył ksiądz Ferris. - W niektórych kręgach nazywa się to optymizmem.

- Chyba raczej: myśleniem jednokierunkowym - odparła żywo Elwira. - Umówiłam się z Eileen na oglądanie mieszkania, ponoć z cudownym widokiem na Central Park. Nie mogę się już doczekać. Potem odwiedzę Kate i spróbuję podnieść ją na duchu.

- Oby ci się to udało. Raz za razem czyta swój egzemplarz drugiego testamentu, co tylko pogłębia jej cierpienie. Ostatnio dopatrzyła się, że Bessie podpisała się tak mocno, iż omal nie rozdarła strony. Jakby się nie mogła doczekać, kiedy odda dom obcym ludziom, brzmiał komentarz Kate.

Po rozmowie z księdzem Elwira przez dwadzieścia minut siedziała pogrążona w zadumie. W końcu włożyła płaszcz i kapelusz, po czym wyszła na taras. Wiatr uderzył ją po twarzy, aż zadrżała, mimo ciepłego ubrania.

Sądziłam, że wyświadczam Sondrze przysługę, tymczasem nadaremnie obudziłam w niej nadzieję, pomyślała z żalem. Teraz będzie jeszcze bardziej cierpieć. Jutro zjawią się jej dziadek i chłopak, więc musi robić dobrą minę do złej gry, a oprócz tego przygotowywać się do występu dwudziestego trzeciego grudnia. Rozbudziłam też w Kate pochopną nadzieję, że znajdę sposób na obalenie testamentu, tymczasem po obejrzeniu chyba każdego mieszkania, jakie wystawiono na sprzedaż w West Side, wyciągnęłam tylko jeden niepodważalny wniosek: Jim i Eileen to bardzo mili ludzie, którym chyba wyłącznie dzięki łutowi szczęścia udaje się coś sprzedać, ponieważ z całą pewnością nie słuchają, gdy klient im mówi, co chciałby nabyć.

- Na razie nic - przyznała się Elwira ze smutkiem Kate przez telefon. - Ale ja walczę aż do końca.

- Och, Elwiro! - westchnęła tamta. - Moim zdaniem to właśnie koniec. Najgorsza jest huśtawka nastrojów. Ciągle przypominam sobie Bessie w ten ostatni poniedziałek, kiedy zostawiłam ją przed telewizorem, aby obejrzała swe ulubione programy. Wiesz, jak przepadała za „Modą na sukces” albo „Szpitalem miejskim”. Godzinami potrafiła rozmawiać o tych filmach, opowiadając, co się działo z każdym bohaterem i o niecnych knowaniach czarnych charakterów. Tymczasem sama przemyśliwała, jak mnie skrzywdzić.

Tej nocy Elwirę dopadł kolejny atak bezsenności - rzecz normalna przy rozwiązywaniu zagadek kryminalnych. O pierwszej się poddała, wyszła do kuchni, zaparzyła herbatę i przewinęła taśmę do samego początku.

- Pamiętaj o Herkulesie Poirocie - powiedziała sobie. - Myśl tak jak on.

Kiedy o siódmej Willy wyszedł z sypialni, przecierając oczy, zastał swoją żonę w triumfalnym nastroju.

- Willy, chyba zapanowałam nad sytuacją - oświadczyła, uśmiechając się z podnieceniem. - Trzeba zacząć od podpisu Bessie na testamencie. Kopia o niczym nie świadczy. Dziś przed południem udam się do sądu i obejrzę sobie dokładnie oryginał. Kto wie, co znajdę.

- Jeśli jest coś do znalezienia, ty na pewno to odkryjesz, kochanie - odrzekł z przekonaniem mąż, jeszcze trochę senny. - Wierzę w ciebie.

## Rozdział 20

Zaproponowano mu coś poważnego - zlecenie znacznie większe od wszystkich dotychczasowych. Większe nawet niż przekręt z firmą komputerową. Co prawda robota nie była w jego stylu, ale Lenny postanowił zaryzykować - jedna duża wypłata i będzie ustawiony na długi czas. Poza tym uznał, że pora się zerwać do Meksyku, zwłaszcza że w mieście pojawiła się matka Gwiazdki i jej szuka.

Artykuł w „New York Globe” solidnie wstrząsnął Lennym. Opisano tam ze szczegółami, jak Gwiazdka została podrzucona przed drzwi plebanii. A jeśli któryś z wścibskich sąsiadów zacznie dokładnie liczyć i przypomni sobie, że właśnie siedem lat temu Lenny pojawił się z córeczką? To nie dawało mu spokoju. Kto wie? Może nawet komuś utkwiał w pamięci podniszczony niebieski wózek z plamą na boku?

Dużo mówiło się o tej sprawie w programach radiowych. Szczególnie zainteresował się nią Don Imus. Zaprosił do studia komisarza policji, który oświadczył, że osoba, bądź osoby, które zabrały dziecko, mogą zostać oskarżone o uprowadzenie i spędzić wiele lat w więzieniu.

- Jeśli znajdziesz cenny przedmiot, który do ciebie nie należy, to nawet jeśli nie znasz jego właściciela, powinieneś zgłosić się na policję - wyjaśniał komisarz. - Tak nakazuje prawo. A czy jest coś cenniejszego od noworodka?

Razem z Imusem rozmawiali o liście, analizując go słowo po słowie.

- Fakt, że matka pragnęła, by dziecko znalazło dobry dom, oznacza, że nie chodziło jej o byle jakie schronienie - tłumaczył policjant. - W ten sposób niemowlę oddano pod opiekę miasta, a my, jako władze miasta, pragniemy je odzyskać. Mam nadzieję, że jeśli ktoś posiada choćby najmniejsze wskazówki co do miejsca pobytu dziewczynki, natychmiast nas powiadomi. Gwarantuję całkowitą anonimowość. Nagrodę również otrzyma bez rozgłosu.

We wtorkowy poranek, kiedy Lenny mieszał cukier i mleko w kubku gorącej kawy dla Lilly, zaświtało mu coś jeszcze. Stan ciotki się pogarszał - w ciągu ostatnich dni prawie nie wstawiała z łóżka - i mężczyzna zdał sobie sprawę z tego, że gdyby poszła do szpitala i wspomniała komukolwiek o

Gwiazdce, zapewne w mieszkaniu zjawiliby się pracownicy opieki społecznej, by sprawdzić, co się dzieje z dziewczynką.

Kiedy wszedł do sypialni, Lilly leżała z zamkniętymi oczami, lecz otworzyła je na odgłos kroków siostrzeńca.

- Lenny, źle się czuję, ale jeśli pójdę do lekarza, wyśle mnie do szpitala. Chcę obejrzeć Steline w roli Maryi na jasełkach, dlatego nie śpieszy mi się jeszcze na tamtą stronę. Gdybym jednak trafiła do szpitala, aż do mojego powrotu zostaw Steline pod opieką Gracie Nuñez. Obiecujesz?

Lenny wiedział, że jasełka będą wystawiane w najbliższy poniedziałek, dwudziestego pierwszego; tego samego dnia miał tę swoją poważną robotę.

Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że Lilly na pewno nie obejrzy przedstawienia, ale jeśli staruszka wytrzyma tyle bez szpitala, wszystko idealnie się ułoży. On zdąży wykonać swoje zadanie, potem siłą wypchnie ciotkę do szpitala, a kiedy już się jej pozbędzie, koło północy wyruszą z Gwiazdką w drogę. Jest jego szczęśliwą gwiazdą, musi ją przy sobie zatrzymać.

Delikatnie postawił kubek na rozchwanym stoliku przy łóżku.

- Zaopiekuję się tobą, ciociu - obiecał. - Stellinie pękłoby serce, gdybyś jej nie obejrzała w tym pięknym kostiumie, który jej uszyłaś. Masz rację, to dobry pomysł, żeby na czas twojego pobytu w szpitalu zaopiekowała się nią pani Nuñez. Muszę pracować, a nie chcę, żeby siedziała tu zupełnie sama.

Lilly spojrzała na niego z budzącą litość wdzięcznością.

- Grazie, Lenny, grazie... - mamrotała, klepiąc go po dłoni.

Biała tunika i błękitny welon wisiały na wieszaku przy komódce. Kiedy

Lenny na nie spojrzał, podmuch wiatru z uchylonego okna poruszył welonem, który otarł się o kielich na blacie.

Kolejne ostrzeżenie, pomyślał Lenny. Autorka artykułu nie omieszkała dodać, że tamtego wieczoru siedem lat temu policja zjawiała się przed kościołem świętego Klemensa w związku z kradzieżą kielicha. Na innej stronie zaś opisano jego dzieje, a nawet zamieszczono zdjęcie.

Lenny najchętniej pozbyłby się natychmiast kompromitującego przedmiotu, ale nie mógł ryzykować. Gdyby kielich zniknął, Lilly urządziłaby aferę, a Gwiazdka powiedziałaaby o wszystkim przyjaciółkom.

Nie, z tym również trzeba poczekać. Ale już niedługo. Kiedy wreszcie urwą się stąd z Gwiazdką, na pewno zrobi jedno: wrzuci srebrny kielich na dno Rio Grandę.

# Rozdział 21

Sondra bała się sięgnąć po gazetę, włączyć telewizor i słuchać radia. Artykuł Elwiry o dziecku obudził w mediach histerię, od której aż się skręcała ze wstydu.

W poniedziałek wieczorem wyciągnęła z walizki nieotwartą butelkę tabletek nasennych, przepisanych przez lekarza na wypadek gdyby ponownie dopadła ją bezsenność. Nigdy nie wzięła ani jednej, woląc się przemęczyć, zamiast ulec pokusie i połknąć „chemię”, jak to określała. W poniedziałek nie miała jednak wyboru: musiała się przespać.

Lecz kiedy obudziła się we wtorek o ósmej, policzki miała mokre od łez i przypomniała sobie, że w niewyraźnych, nękających ją snach płakała. Półprzytomna i zagubiona usiadła na łóżku, a potem ostrożnie spuściła nogi na podłogę.

Przez kilkanaście sekund pokój hotelowy wirował wokół niej, a kwieciste zasłony zlewały się z paskami na kanapie, tworząc kalejdoskop barw. Trzeba było darować sobie te tabletki i nie zmrużyć oka albo połknąć wszystkie, pomyślała, ale zaraz potrząsnęła głową.

- Nie jestem aż takim tchórzem - powiedziała głośno.

Dopiero długi, gorący prysznic i strumień wody skierowany na twarz pomógł Sondrze odzyskać przytomność. Włożyła szlafrok frotte, zawinęła ręcznik na głowie i zmusiła się do zamówienia jajecznicy z tostem oraz tradycyjnego soku pomarańczowego i kawy.

Dziś wieczorem przyjeżdżają dziadek i Garry, przypomniała sobie.

Jeśli zobaczą mnie w takim stanie, zaczną wypytywać, co się stało i wreszcie pęknię, wyznam im całą prawdę. Dziś muszę solidnie poćwiczyć. A jutro jeszcze lepiej, bo pójdzie ze mną na próbę dziadek. Moja gra musi sprawić, że nie będzie żałował tych wszystkich lat poświęceń i pracy.

Sondra wstała i podeszła do okna. Dziś wtorek, piętnasty grudnia, pomyślała, wyglądając na ulicę, na której było już pełno samochodów i przechodniów, spieszących do pracy.

- W przyszłą środę koncert - przypomniała sobie na głos.

W pierwszy dzień świąt wracamy do Chicago, pomyślała. Ale nie ja. Zadzwonię do drzwi plebanii parafii świętego Klemensa - co należało zrobić siedem lat temu, zamiast biec dwie ulice dalej do budki. Przyznam się księdzu Ferrisowi, że to ja zostawiłam dziecko i poproszę, by zatelefonował na policję. Nie wytrzymam ani dnia dłużej z tym poczuciem winy.



## Rozdział 22

We wtorek rano, o dziesiątej, Henry Brown, urzędnik w sądzie przy Chambers Street na Manhattanie, podniósł wzrok i ujrzał mniej więcej sześćdziesięcioletnią kobietę o rudych włosach, dość wydatnej szczęce i zdecydowanej minie. Henry, który uważnie obserwował bliźnich, zauważył wokół ust i oczu kobiety zmarszczki, powstałe od częstego śmiechu. Wiedział, że świadczą one o dobrym charakterze, a rozdrażnienie zapewne było tylko chwilowe.

Natychmiast zaszufładował przybyłą: niezadowolona krewna, która chce zobaczyć oryginał testamentu, na mocy którego została wydziedziczona.

Szybko przekonał się, że faktycznie chodziło o obejrzenie dokumentu, ale kobieta nie była krewną zmarłego.

- Nazywam się Elwira Meehan - wyjaśniła. - O ile mi wiadomo, testament przed uprawomocnieniem nie jest tajny i mam prawo zapoznać się z każdym, który mnie interesuje.

- Owszem - zgodził się Henry - ale musi się to odbyć w obecności pracownika sądu.

- Nie obchodzi mnie, czy cały tutejszy personel będzie mi dyszał za plecami - odparła ostro Elwira, lecz zaraz się zmytowała.

W końcu to nie wina tego miłego urzędnika, że im bardziej się zbliżała do obejrzenia oryginału ostatniej woli Bessie, tym bardziej wszystko się w niej gotowało.

Piętnaście minut później Henry Brown usiadł przy niej, gdy oglądała dokument.

- Znowu to słowo - mruknęła.

- Słucham?

- Kłuje mnie w oczy przymiotnik „nieskalany”. Założyłabym się, że autorka testamentu ani raz w swoim długim, osiemdziesięcioośmioletnim życiu go nie użyła.

- Zdziwiłaby się pani, jak wyszukanego języka używają autorzy testamentów - wyjaśnił uprzejmie Henry. - Czasem nawet łapią się we własne sidła i błędnie piszą o „cofaniu się wstecz” albo „dalej kontynuują”. - Zawiesił głos. - Przyznam jednak, że pierwszy raz spotykam się z określeniem „nieskalany”. Nigdy jeszcze nikt nie użył tego słowa.

Elwira przestała słuchać, gdy pan Brown tłumaczył, że sięganie po rzadko używane albo nadmiernie wyrafinowane słowa jest dość powszechne.

- A to co? - spytała. - Niech pan spojrzy na ostatnią stronę. Testament był już przecież podpisany wcześniej.

- Nazywamy to klauzulą atestacyjną - wyjaśnił Henry. - W świetle prawa stanu Nowy Jorku świadkowie muszą się tu podpisać. Poświadcza to, że byli obecni przy sporządzaniu testamentu, a testatorka, w tym wypadku pani Bessie Durkin Maher, również musi złożyć tu swój podpis po raz

drugi. Mówiąc najogólniej, stanowi to potwierdzenie i poświadczenie ostatniej woli.

Bez tego świadkowie musieliby się stawić w sądzie przy uprawomocnieniu dokumentu, a wtedy, gdyby testament czekał tu latami, owi ludzie mogliby już nie żyć albo się gdzieś wyprowadzić.

- Niech pan się temu przyjrzy - poleciła Elwira, przysuwając dwie kartki papieru. - Podpis Bessie na testamencie i na tej... Jak pan to nazwał? Klauzuli atestacyjnej. Widzi pan? Inny atrament. A przecież oba dokumenty są podpisywane równocześnie, czyż nie tak?

Henry porównał oba podpisy.

- Nie ulega wątpliwości, że to dwa różne odcienie niebieskiego - potwierdził. - Ale może pani przyjaciółka uznała, że podpis na testamencie, choć całkowicie czytelny, jest nieco za jasny, dlatego zmieniła długopis. Nie ma w tym nic wbrew przepisom. Świadkowie podpisali się tym samym atramentem - zwrócił jej uwagę.

- Jeden podpis Bessie jest pewny, a drugi jakby drżący. Niewykluczone, że podpisała te dokumenty przy dwóch różnych okazjach - zauważyła Elwira.

- O, to by już było niezgodne z prawem.

- Święte słowa.

- Cóż, jeśli już pani skończyła, pani Meehan... - odezwał się znacząco. Elwira uśmiechnęła się do niego.

- Nie, niestety nie. Bardzo dziękuję, że poświęca mi pan swój cenny czas. Ale na pewno chciałby pan, żeby prawda zatriumfowała.

Henry grzecznie się uśmiechnął. Każdy krewny, pominięty w testamencie, gorąco pragnie zwycięstwa „prawdy”.

- Słuchaj, Henry - ciągnęła Elwira. - Mogę się do ciebie zwracać po imieniu? A ty mów mi: „Elwira”. - Nie czekając, aż urzędnik potwierdzi tę ich nieoczekiwaną zażyłość, mówiła dalej: - Bessie przysięga, że to jej ostatnia wola. Ja przysięgam, że to fałszerstwo. Zresztą, skąd by wiedziała, jak napisać tę klauzulę atestacyjną, wytłumacz mi?

- Może zwróciła się do kogoś o jej napisanie albo ktoś dał jej kopię na wzór - cierpliwie wyjaśniał Henry. - Pani Meehan, to znaczy, Elwiro... - zaczął.

- Dobrze - wpadła mu w słowo. - Wiem, że to nie dowód, ale podpisy są różne, więc założę się, że Bessie nie podpisała obu dokumentów równocześnie. - Energicznie zabrała swoje rzeczy ze stolika. - Dziękuję ci, Henry - powiedziała i wyszła szybkim krokiem osoby, która ma do spełnienia ważną misję.

Elwira udała się bezpośrednio do agencji nieruchomości Jamesa i Eileen Gordonów. Była umówiona na oglądanie kolejnego mieszkania, tym razem na Central Park West; Eileen opisała je jako „interes stulecia”.

Udając zainteresowanie lokalem i słuchając zachwytów nad cudownym widokiem - choć nie wydawał się szczególnie porywający, jako że apartament mieścił się na pierwszym piętrze i okna wychodziły prosto na drzewa - Elwira w końcu sprowadziła rozmowę na podpisywanie testamentu Bessie.

- O, tak, kochane biedactwo podpisało oba dokumenty. - Eileen szeroko otworzyła okrągłe oczy, uśmiechając się do wspomnień. - Jestem tego pewna. Ale nie ulegało wątpliwości, że traciła siły. Pewnie dlatego drugi podpis był taki nierówny. Nie zauważyłam, czy zmieniła długopis.

Niewykluczone, że akurat rozglądałam się po pokoju. Kamienica jest w niemal idealnym stanie. Oczywiście należałoby naprawić parę rzeczy, na przykład drzwi od salonu, ale to drobiazg. Przy obecnych cenach bez trudu sprzedałabym ten dom za trzy miliony.

Wyjątkowo masz rację, pomyślała Elwira i całkowicie zniechęcona wyłączyła mikrofon ukryty w broszce.

## Rozdział 23

Ten cały Lenny Centino okazał się sprytniejszy, niż przypuszczałem - relacjonował szefowi detektyw Roberto Pagano, pracujący jako wtyczka Tracy'ego, kiedy w środę spotkali się we trzech we wcześniej ustalonym miejscu. - Teraz już trzyma buzię na kłódkę w sprawie dostaw, które załatwiał dla tamtej rzekomej firmy komputerowej. Pewnie i za pierwszym razem nie pisnąłby słówka, gdyby piwo nie rozwiązało mu języka.

- A nawet najgłupszy adwokat mógłby doprowadzić do zwolnienia go z braku dowodów - zmartwił się Joe. - Dlatego trzymam kciuki, żeby nie wycofał się z tej poniedziałkowej akcji.

- Nie przypuszczam - uspokajał go Pagano. - Jeśli mnie węż nie myli, Lenny już pakuje walizki. Chyba się domyśla, że ostatnio dealerom z Upper

West Side nie powodzi się najlepiej. W poniedziałek wieczorem chce zrobić swój życiowy skok, a potem zniknie raz na zawsze.

- Owszem, ale nie tam, gdzie sądzi. Taką przynajmniej mam nadzieję - odparł Trący. - Oczywiście jeżeli Lenny wykona zadanie, mamy go w sakę, jednak co będzie, jeśli stchórzy i się wycofa?

To przypomniało Tracy'emu o czymś jeszcze.

- Ostatnio często odbiera córkę z „Małego Domu”. Odkąd to stał się takim wzorowym tatusiem?

- Może postanowił zadbać, by go zapamiętała, kiedy da nogę. - Pagano wzruszył ramionami. - Nie przypuszczam, by zamierzał wziąć sobie na kark siedmiolatkę.

- Chyba o to możemy być spokojni - przyznał mu rację Trący.

## Rozdział 24

Ostatnia próba jasełek odbywała się w piątek wieczorem i Lenny specjalnie się na niej pojawił, tłumacząc siostrze Kordelii i Maeve Marii, że w poniedziałek o czwartej - w czasie premiery - będzie pracował, więc przynajmniej teraz obejrzy dziewczynkę w roli Najświętszej Panienki.

Z przyklejonym do twarzy troskliwym uśmiechem wyjaśnił, że babcia

Stelliny ciężko choruje, ale on zaopiekuje się córeczką.

- Mamy tylko siebie, Gwiazdko - mówił, gładząc płataninę loków, spadających jej na ramiona. - Będę musiał się nauczyć czesać tę niesforną czuprynę. - Znowu uśmiechnął się do zakonnicy. - Nonna już sobie nie radzi z tak długimi włosami.

Kobiety z lodowatą uprzejmością skinęły głowami. Potem siostra Kordelia odwróciła się i klasnęła w dłonie.

- Dobrze, dzieci, ustawcie się do próby generalnej. O, jesteś, Willy, a już się bałam, że o nas zapomniałeś.

Willy i Elwira wchodzili po schodach, na twarzy mężczyzny widniał uśmiech pełen rezygnacji.

- Kordelio, za tydzień święta. Może nie uwierzysz, ale miałem zakupy do zrobienia.

- A ja po raz ostatni spotkałam się z Gordonami - powiedziała Elwira. -

Praktycznie wyrzucili mnie za drzwi. Oświadczyli, że ich zdaniem chyba jeszcze nie dojrzałam do przeprowadzki i podali adresy konkurencyjnych agencji, do których mogę się zgłosić, gdybym zamierzała do końca życia szukać mieszkania.

- W takim razie musimy się pogodzić z tym, że nasz Pan nie życzy sobie, byśmy po pierwszym styczniu nadal prowadziły tę działalność - westchnęła Kordelia. - Nie obwiniaj się, Elwiro. Robiłaś, co w twojej mocy, by dowieść, że testament Bessie jest sfałszowany. - Energicznie się odwróciła. - Zacznijmy próbę! - Ponownie przysunęła się do bratowej, zniżyła głos i niemal niedostrzegalnym ruchem głowy wskazała Lenny'ego. - Ten jegomość to ojciec Stelliny. Usiądź przy nim. Próbuje zrobić na nas dobre wrażenie, więc na pewno i ciebie zagadnie. Potem mi powiesz, co o nim sądzisz. Moim zdaniem to nicpoń.

Siostra Kordelia się nie myliła. Lenny'emu przez całą próbę nie zamykały się usta. Opowieść o tym, jak zrezygnował z doskonałej pracy na Środkowym

Zachodzie, bo ogromnie tęsknił za Gwiazdką, a nie mógł jej odebrać ukochanej ciotce, przerywał tylko po to, by wznosić donośne i zgoła nie na miejscu okrzyki zachwytu nad przedstawieniem. Zdążył też uraczyć Elwirę historią swojego małżeństwa ze śliczną Irlandką, matką Gwiazdki.

- Nazywała się Rose O'Grady. Uwielbialiśmy razem tańczyć. Za każdym razem prosiłem orkiestrę, żeby zagrała „Śłodką Rosie O'Grady” i tańcząc śpiewałem jej tę piosenkę do ucha.

- Co się stało z pańską żoną? - spytała uprzejmie Elwira.

- Nieczęsto o tym opowiadam. Wpadła w depresję poporodową, a choroba okazała się tak

poważna, że Rose trzeba było hospitalizować. A potem... - Tu głos mu zadrżał. - Nie pilnowali jej należycie. - Ostatnie zdanie wygłosił dramatycznym szeptem.

Samobójstwo, pomyślała Elwira.

- Bardzo panu współczuję - powiedziała szczerze.

- Nonna powiedziała Gwiazdce, że jej mama zachorowała, musiała wyjechać daleko i zapewne już nigdy nie da znaku życia. Moim zdanie należało od razu powiedzieć małej, że matka nie żyje, ale ciocia ciągle to odwlekała - zakończył Lenny, kontent, iż tak idealnie dopracował scenariusz.

Próbie zakłócił jedynie mały zgrzyt, kiedy Rajid, trzeci król, upuścił słój, w którym miała się znajdować mirra.

- Nie przejmuj się! - zawołała siostra Kordelia, widząc, że chłopcu zbiera się na płacz.

Siostra Maeve Maria błyskawicznie zaczęła zbierać skorupy.

- To tylko mały wypadek. Nic wielkiego. Kontynuujemy próbę! Willy podszedł do pianina. Czas na ostatnią scenę jasełek.

- „Niech sen spokojny śni się Dzieciąteczku...” - zaczął cicho.

Stellina i Jerry spojrzeli znad prawdziwego żłóbka, przy którym klęczeli.

- „Anioł Stróż czuwa przy żłobeczku...” - przyłączyli się słodkimi, przejętymi głosikami.

- Śliczna kolęda - odezwał się Lenny. - Przypomina mi...

- Cii...!

Wielkie nieba, czy ten człowiek nie może na chwilę się zamknąć, aby posłuchać własnego dziecka? - pomyślała Elwira, już tak rozdrażniona, że gdyby miała pod ręką taśmę, zakleiłaby mu usta. Zauważyła, że Stellina zerknęła w kierunku ojca, kiedy się odezwał, a potem szybko odwróciła wzrok, jakby zawstydzona.

Jest inteligentna i czuje, że to odrażający typek, zauważyła w duchu

Elwira. Biedne dziecko, nie wygląda dziś tak schludnie jak zawsze. Ma potargane włosy, a zwykle chodzi gładko uczesana. Nie wygląda jak spod igły, ale nadal budzi zachwyt. Kręcone, ciemnoblonde włosy spadają niemal do pasa, uwagę przykuwają ładna, jasna cera i poważne, ciemnobrązowe oczy. Przez ten smutek buzia małej wydaje się twarzą dojrzałej kobiety. Dlaczego z niektórymi dziećmi życie obchodzi się tak okrutnie?

Kiedy próba dobiegła końca, Lenny zaczął głośno klaskać.

- Wspaniałe! - wołał. - Doskonała gra! Tatuś jest z ciebie dumny, Gwiazdko!

Stellina poczerwieniała i odwróciła się, unikając spojrzenia ojca.

- Tatuś jest z ciebie dumny - przedrzeźniał Jerry, wstając z klęczek. - Prawdziwa z ciebie miniaturowa Święta Panienka, cha, cha, cha!

- Jeszcze nie jest za późno na poszukanie innego świętego Józefa - ostrzegła chłopca siostra Kordelia, natychmiast przywołując go do porządku. - Pamiętajcie, aby w poniedziałek wziąć do szkoły kostiumy. Tutaj się przebierzecie.

- Odbiorę Gwiazdkę po lekcjach i zaprowadzę do domu, żeby tam się przebrała - poinformował Elwirę Lenny. - Jej babcia nie może przyjść na przedstawienie, ale chce zobaczyć małą w pełnym stroju. Potem będę musiał wrócić do pracy.

Elwira automatycznie kiwała głową, całą uwagę skupiwszy na Kordelii, która zbierała dary, jakie mieli wręczyć Jezuskowi trzej królowie. Czekolada w folii z powodzeniem imitowała złoto. Malowana czara, którą zakonnica przyniosła z domu, dobrze się sprawdzała w roli misy na kadzidło. Przyniosę jakieś naczynie zamiast tego, które stłukł Rajid, postanowiła Elwira. Wtedy zauważyła, że

Stellina bierze siostrę za rękę i prowadzi Kordelię na bok.

- Jakież tajemnice? - zauważył Lenny, a w jego głosie zadźwięczał niepokój.

- O, wątplię - odrzekła szybko Elwira. - Stellina zamierzała poprosić siostrę Kordelię i Maeve Marię o modlitwę w intencji babci.

- Aha - odezwał się mężczyzna po dłuższej chwili. - Widać właśnie to robi. Zadowolony z wrażenia, jakie zrobił podczas próby generalnej, Lenny wyszedł ze Stelliną, dopilnowawszy, by wszyscy usłyszeli, że zabiera ją na kolację.

- Teraz, kiedy nonna już nie może nam gotować, będę musiał sobie sprawić książkę kucharską - brzmiało jego ostatnie zdanie.

W drodze do McDonald'sa spytał Stellinę, czy kiedy rozmawiała z siostrą Kordelią na boku, poprosiła ją o modlitwę za babcię.

- Codziennie obie o to proszę - odparła dziewczynka cicho.

Wyczuła, że tacie nie spodobałoby się to, o co naprawdę pytała: czy - jeśli nonna pozwoli - mogłaby przynieść kielich, który kiedyś należał do wuja jej mamy, żeby Rajid podarował go Dzieciątku zamiast stłuczonego słoja?

Ku jej radości, siostra się zgodziła. Gwiazdka była pewna, że jeśli bardzo poprosi babcię, ta pozwoli jej pożyczyć rodzinną pamiątkę. A kiedy Rajid postawi go obok żłóbka, Stellina będzie się modliła, żeby mama - o ile nie poszła do nieba - choć raz ją odwiedziła.

To marzenie i nadzieja ostatnio ani na chwilę jej nie opuszczały, stając się gorącym pragnieniem dziewczynki. A coraz silniejsza wiara zdawała się obiecywać, że jeśli Stellina odda kielich Dzieciątku, modlitwa zostanie wysłuchana.

I wreszcie mama naprawdę ją odwiedzi.

## Rozdział 25

Dziadek Sondry, Peter Lewis, przyjechał w środę po południu. Z ulgą, ale i pewnym rozczarowaniem dziewczyna przyjęła wiadomość, że nie towarzyszył mu Gary.

- Zjawi się na sam koncert - zapewnił ją dziadek. - Jest bardzo zajęty i nie mógł się wyrwać. Poza tym ma wystarczające doświadczenie, by wiedzieć, że na kilka dni przed ważnym występem lepiej nie przeszkadzać artyście. Niech pozostanie sam na sam z muzyką.

Sondra wiedziała, co ma na myśli dziadek. Gary Willis głęboko, namiętnie kochał muzykę i znał stres, jaki nieodłącznie towarzyszy życiu wirtuoza.

- Cieszę się, że mnie rozumie - odrzekła - ale wprost nie posiadam się z radości, że ty już przyjechałeś. Dziadku, wspaniale wyglądasz!

Niezwykle ją uradowało, że dziadek jest w takiej dobrej formie. Choroba wprawdzie dawała o sobie znać opuchlizną stawów i palców, ale dzięki potrójnym bypasom wróciły mu kolory i odzyskał energię - a jej utraty najbardziej się Sondra obawiała.

W odpowiedzi na zachwyty, jak świetnie wygląda na swoje siedemdziesiąt pięć lat, usłyszała:

- Dziękuję, Sondro, ale mój wiek uznaje się teraz dopiero za początek starości. Niezakłócony dopływ krwi do serca czyni cuda, choć mam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiała się o tym przekonać na własnej skórze.

Przynajmniej, pomyślała Sondra, usiłując znaleźć chociaż jeden jasny punkt, dziadek jest na tyle silny, że zniesie cios, gdy po koncercie wyznam mu prawdę o dziecku i powiem, co zamierzam zrobić.

Ale na samą myśl o tym pobladła.

- Ty zaś schudłaś i wyglądasz na zatroskaną - zauważył sucho. - Coś się stało czy to tylko zwykła trema przed występem? Jeśli tak, to czuję się rozczarowany. Myślałem, że już cię z niej wyleczyłem.

Nie odpowiedziała wprost.

- Dziadku, przecież w końcu zagram w Carnegie Hall. To coś więcej niż zwykły występ.

W czwartek i piątek dziadek odnawiał stare znajomości, a Sondra ćwiczyła pod okiem nowojorskiego nauczyciela.

W piątek wieczorem przy kolacji dziadek wspominał, że odwiedził kościół świętego Klemensa i usłyszał o kradzieży kielicha biskupa Santoriego.

- Podobno tej samej nocy porzucono tam dziecko - mówił, czytając menu, jak zwykle całkowicie pochłonięty tą czynnością. - Zdaje się, że niedawno pisano o tym w prasie. - Umilkł. - Sola z rusztu i sałatka - zamówił, a potem zmierzył wnuczkę przenikliwym wzrokiem. - Kiedy zapraszam cię do Le Cirque 2000, miej choć tyle przyzwoitości, by przynajmniej udawać zainteresowanie kartą.

Następnego dnia zaś, gdy słuchał gry Sondry, ujrzała w jego oczach rozczarowanie. Ćwiczyła sonatę Beethovena i choć nie miała wątpliwości, iż jej technice nie można niczego zarzucić, zdawała



też sobie sprawę z tego, że w jej interpretacji utworu nie było ognia ani namiętności. Dziadek doskonale to wyczuwał.

Kiedy skończyła, wzruszył ramionami.

- Twoja technika jest doskonała, nie popełniłaś ani jednego błędu. Podczas gry nie należy całkowicie angażować się w muzykę. Nie wiem, czemu, ale tak jest. Ty jednak wcale się w nią nie angażujesz! - Spojrzał na wnuczkę surowo.

- Sondro, rób tak dalej, a wystąpisz w wielkich salach koncertowych, a potem błyskawicznie z nich znikniesz. O, tak! - Pstryknął pacami. - Co się z tobą dzieje? Zamykasz się przed człowiekiem, który cię kocha i którego ty chyba również darzysz uczuciem. Masz do mnie pretensje. Nie wiem, o co, ale czuję to od lat. Czy nie możesz być ze mną szczerą?

Zniechęcony i rozczarowany, wzruszył ramionami, odwrócił się i skierował do wyjścia.

- Jestem matką dziecka podrzuconego u świętego Klemensa! - wykrzyczała za nim, a słowa te niemal zawisły w powietrzu.

Zatrzymał się i odwrócił; na jego twarzy widniało zdumienie, a w oczach głęboka troska.

Twarz ani głos Sondry nie zdradzały żadnych uczuć, gdy wyrzucała z siebie prawdę. Kiedy już skończyła, zapadło długie milczenie. Potem dziadek skinął głową.

- Więc to tak. Teraz rozumiem, że po części obwiniłaś mnie, bo musiałaś ją oddać. Może słusznie, a może nie, to teraz bez znaczenia. Poruszmy niebo i ziemię, aby odnaleźć twoją córeczkę. Powiemy o tym Gary'emu, ma niezwykle wpływy w różnych instytucjach. A jeśli nie zrozumie, to znaczy, że nie jest ciebie godny. A teraz... - Wziął skrzypce i wcisnął je w ręce wnuczki.

- Teraz graj z całego serca dla dziecka, którego szukasz.

Sondra ułożyła je pod brodą i sięgnęła po smyczek. Oczyma wyobraźni widziała swoją córkę. Czy odziedziczyła jej blond włosy, czy też ma jedwabiste, ciemne loki po ojcu? Oczywiście... Czy pozostały niebieskie, a może są piwne, jak jej? Czy też ciemnobrązowe jak jego? Krótka znała ojca swojej córeczki, właściwie nie darzyła go uczuciem, ale zostawił jej po sobie dziecko. Będzie taka jak ja, uznała Sondra. Będzie wyglądać zupełnie jak ja w jej wieku. Ma teraz siedem lat. W jej sercu na pewno żyje muzyka, myślała, wodząc smyczkiem po strunach. Nadal mi się wymyka, lecz dostrzegam ją w oddali, słyszę jej kroki, czuję obecność. Ona zaś wie, że za nią tęsknię.

Zapominając o dziadku, Sondra zaczęła grać.

Nawet nie nadałam jej imienia, westchnęła w duchu. Jak bym ją nazwała? Jak się do niej zwracam w głębi serca?

Grając, szukała odpowiedzi, lecz na próżno.

Kiedy przebrzmiały ostatnie tony, dziadek dopiero po dłuższej chwili skinął głową.

- Teraz możesz stać się prawdziwą artystką. Nadal zamykasz się w sobie, ale zrobiłaś już wielki postęp. Zażądamy bisu. Co przygotowałaś?

Sondra sama nie знаła odpowiedzi, dopóki nie usłyszała własnych słów.

- Proszą kolędę - odrzekła. - „Najdłuższa noc”.

## Rozdział 26

W niedzielę rano Elwira i Willy poszli na mszę do świętego Klemensa. W kościele spotkali Kate i na prośbę przyjaciółki udali się potem na kawę do jej mieszkania.

W drzwiach wejściowych minęli się z Bakerami.

- Idziemy z Lindą po poranne gazety - zagaił jowialnie Vic. - Przepadamy za krzyżówkami z niedzielnego wydania „Timesa”.

- Znam człowieka, który twierdził, że wszystkie rozwiązuje, ale kiedy ktoś go sprawdził, okazało się, że oszukiwał i wpisywał w puste pola, co mu ślina na język przyniosła - odrzekł Willy. - Może to pański przyjaciel?

Z twarzy mężczyzny zniknął uśmiech. Linda wzruszyła ramionami i pociągnęła męża za rękaw.

- Chodźmy, kotku - powiedziała tylko.

- Nie nosi już czarnego krawata - zauważył Willy, odprowadzając wzrokiem tamtych dwoje, gdy szli chodnikiem ramię w ramię.

- Cud, że nie skręciła sobie karku na tych wysokich obcasach - dodała

Elwira. - Chodnik jest wyślizgany.

- Spokojna głowa, nie upadnie - wtrąciła się Kate. - To profesjonalistka. Zawsze nosi szpilki.

Przekręciła klucz w zamku i pchnęła drzwi. - Wchodźcie do środka, bo ten wiatr przewieje nas na wylot. Napijemy się kawy w salonie - zaproponowała, gdy już zdjęli płaszcze. - Rano rozpalłam w kominku, więc jest tam przytulnie. W niedzielne poranki po powrocie z kościoła Bessie najchętniej siadała w salonie, racząc się kawą i moim ciastem.

Nie pozwoliła sobie pomóc przy nakrywaniu.

- Co to jest parę talerzy i filiżanek! A ty przez cały tydzień biegałaś, krzątając się wokół moich spraw. Rozgość się i odpocznij.

- Zawsze lubiłem ten pokój - powiedział Willy, usadowiwszy się w wygodnym skórzanym fotelu, ukochanym miejscu odpoczynku Aloysiusa

Mahera, którego portret w sędziowskiej todze wisiał nad kominkiem.

- Jest cudowny - zgodziła się z mężem Elwira. - Coraz rzadziej spotyka się takie wysokie sufity i rzeźbione półki nad kominkiem. Spójrz na te zdobienia przy oknie. Prawdziwe cacka! Nie potrafię się pogodzić, że Kate nie będzie się tym wszystkim cieszyła do końca życia. - Rozejrzała się i westchnęła. - Chyba Bessie się nie obrazi, jeśli zajmę jej ulubione miejsce. Pamiętasz, jak siedziała ze stopami na podnóżku, patrząc na telewizję? Ciskała gromy, jeśli ktoś jej przerwał oglądanie „Mody na sukces” albo innego filmu. A tymczasem co zrobiła w ostatniej chwili życia? Zakradła się na górę, ledwo Kate na chwilę wyszła z domu i wyrugowała stąd rodzoną siostrę. Ale to by oznaczało, że w ostatnim dniu życia przegapiła przynajmniej jeden ze swoich ulubionych seriali.

- Może w niebie jest tygodnik wielbicieli telenowel i uzupełniła zaległości?

- podsunął jej mąż.

Weszła Kate z tacą i postawiła ją na stole.

- Och, Willy, czy mógłbyś zamknąć drzwi? Lada chwila „Kotek i Kicia” wrócą z gazetami, a nie chcę, żeby nam przeszkadzali.

- Z niekłamana przyjemnością, Kate - odparł Willy i wstał ze stęknieniem.

Wzmianka o Bakerach sprowadziła rozmowę na testament, więc Elwira odruchowo włączyła swój magnetofonik.

- Bessie zawsze pisała piórem sędziego i nigdy nie używała niebieskiego atramentu - oświadczyła Kate, kiedy Elwira wspomniała o różnych odcieniach niebieskiego tuszu w podpisie na testamencie i klauzuli atestacyjnej. - Choć, z drugiej strony, w ostatnich dniach życia zrobiła wiele dziwnych rzeczy.

- A jej maszyna do pisania? - spytała Elwira. - Chyba coś o niej wspominała na przyjęciu w Dniu Dziękczynienia.

- Nie jestem pewna - bąknęła Kate.

- Dobrze. A jak z jej wzrokiem? Czy się pogorszył?

- Jak wiesz, nosiła dwuogniskowe okulary. Ale należało już zmienić szkła do czytania na mocniejsze. Żeby odczytać tekst, musiała go sobie podsunąć pod nos. Mogła podpisać dokumenty, uważając je za rachunek za farbę, lakier czy narzędzia. Raz widziałam, jak Baker przyniósł jej fakturę od dostawcy. Dał Bessie do ręki długopis.

- W sądzie nie przyda się to na wiele - zauważył Willy. - Kate, poszedłbym na drugi koniec świata po taki pyszny placek jak ten twój.

Pani domu się uśmiechnęła.

- Nie musisz. Na miejscu jest go wystarczająco dużo. Bessie też za nim przepadała. Mówiła, że nawet po jej śmierci mam go piec i w niedzielę rano zostawiać w salonie kawałek dla niej, bo inaczej będzie mnie straszyć.

Ale wtedy na scenę wkroczyli Bakerowie, pomyślała Elwira. W holu usłyszała szcęk drzwi wejściowych.

- Wrócili dziedzice - mruknęła i z niechęcią patrzyła, jak otwierają się drzwi salonu i stają w nich uśmiechnięci Vic oraz Linda Bakerowie.

- Anglicy też lubią tak sobie podjadać przed południem - odezwał się jak zwykle jowialnie Vic. - Zwykle wypada to koło jedenastej. - Zrobił krok i znalazł się w pokoju. - Wielkie nieba, Kate, ten placek wygląda bardzo apetycznie.

- Owszem - przyznała chłodno Elwira. - Zdaje się, że niedawno naprawiał pan te drzwi, prawda, panie Baker?

- Zgadza się. Tak.

- To dlaczego tak łatwo się otwierają?

- Trzeba je jeszcze wyregulować. - Niezadowolony z przebiegu rozmowy, cofnął się do wyjścia.

- Idę spróbować swoich sił w krzyżówkach.

Odczekali, aż ucichną ciężkie kroki Vica i skoczne staccato szpilek Lindy.

- Czy do niego nie docierają żadne aluzje? - spytał Willy.

- To coś więcej - odrzekła Kate. - Ciekawią ich nasze rozmowy. Dzięki Bogu, że już prawie do końca wyprzątnęłam pokój Bessie. Ten człowiek zawsze się kręci w pobliżu, kiedy tam coś robię. - Zmarszczyła brwi. - Jeśli chodzi o maszynę Bessie, Elwiro, to odstępnik wymaga naprawy. Trzeba

pisać bardzo wolno, inaczej przeskakuje. Dopiero teraz sobie o tym przypomniałam. Patrzyłam na maszynę w sypialni, usiłując sobie przypomnieć, co Bessie mówiła w Dniu Dziękczynienia.

Elwira wysączyła ostatnią kroplę kawy i z bólem odmówiła dokładki ciasta.

- Pozwól mi spojrzeć na tę maszynę - poprosiła. W biurku Bessie leżało kilka czystych kartek.

Elwira wkręciła jedną z nich do maszyny i zaczęła stukać. Ilekroć uderzyła w klawisz spacji, maszyna przeskakiwała o parę znaków i ciągle trzeba było ją cofać.

- Od dawna tak wariuje?

- Co najmniej od Dnia Dziękczynienia.

- Czyli Bessie musiała albo napisać testament przed tym świętem, co by oznaczało, że w rozmowie z księdzem następnego dnia kłamała jak najęta, albo przez cały weekend stukała praktycznie po jednym słowie. Jak myślicie, co się narzuca?

- Ale to nie stanowi dowodu - ostudził ją Willy. Spojrzał na pudła zgromadzone pod ścianą pokoju. - Pomóc ci je wynieść?

- Jeszcze nie. Muszę zapakować jedną rzecz, a nie mogę jej znaleźć. Zniosłam do prania flanelową koszulę Bessie w kwiatki i zniknęła. Został na niej ślad pudru, a nie chciałam oddawać zabrudzonej rzeczy. - Zniżyła głos i obejrzała się przez ramię. - Gdyby nie to, że Linda Baker ubiera się jak ladaczniczka, przysięgałabym, że to Vic zabrał tę koszulę. I co wy na to?

Tego samego dnia po południu, kiedy Willy oglądał mecz Gigantów ze Steelersami, jego żona siadła przy stole w jadalni i po raz kolejny przeszłuchała całą taśmę, nagraną podczas dochodzenia w sprawie testamentu Bessie i kamienicy. Robiła notatki, a czasem nawet ściągła brwi, gdy coś przykuło jej uwagę.

Wynik był przesądzony, właśnie dobiegała końca czwarta kwarta, kiedy

Elwira zawołała na cały głos:

- Chyba znalazłam wytłumaczenie! Willy, Willy, posłuchaj! Czy nazwałbyś Bessie „kochanym biedactwem”?

Mąż nie odrywał wzroku od ekranu.

- Nie. Nigdy. Nawet w najlepszych chwilach.

- Oczywiście, że nie. Nie była kochanym biedactwem, tylko twardą, upartą, kąśliwą staruszką. I właśnie o to tu chodzi. Po tylu wędrówkach z Gordonami odkryłam prawdę tu, pod własnym dachem.

Choć zawodnicy Gigantów przejęli właśnie piłkę i atakowali na polu drużyny Steelersów, Willy skupił całą uwagę na żonie.

- Co odkryłaś, kochanie?

- Gordonowie wcale nie widzieli Bessie - oznajmiła z triumfem Elwira. - Byli świadkami, jak ktoś inny podpisywał testament. Vic i Linda podstawili inną kobietę, w czasie gdy Bessie oglądała swoje filmy.

Dwie godziny później Elwira i Willy zjawili się w mieszkaniu Kate w towarzystwie Jima i Eileen Gordonów. Już wcześniej poprosili księdza Ferrisa oraz siostrę Kordelię i Maeve Marię, by się tam udali. Zastali wszystkich w salonie, gdzie goście siedzieli w towarzystwie równie oszołomionej Kate.

- Elwiro, o co chodzi? - spytała Kordelia.

- Wkrótce się przekonasz. Dziedzice przyłączą się do nas? - upewniła się jej bratowa.

- Bakerowie? - odezwała się Kate. - Tak. Powiedziałam, że przyjdiesz i masz dla nich niespodziankę.

- Wspaniale. Kate, nie znasz tych miłych państwa, prawda? Jim i Eileen Gordonowie byli świadkami podpisania testamentu przez Bessie, a raczej tak się im wydawało.

- Wydawało się im? - powtórzył zdziwiony ksiądz.

- Owszem. Eileen, opowiedz nam, co się wydarzyło, kiedy się tu byliście pierwszy raz - poprosiła Elwira.

- Nie wiem, czy pani pamięta - zaczęła Eileen Gordon z wyrazem powagi na swojej miłej twarzy - że właśnie pokazywałam panu Bakerowi po prostu śliczne mieszkanie przy Osiemdziesiątej Pierwszej Zachodniej, naprzeciwko muzeum. To jeden z najpiękniejszych budynków w...

- Eileen - przerwała Elwira, usiłując zapanować nad irytacją - opowiedz, proszę, o podpisaniu testamentu.

- A tak. Cóż, zadzwoniła pani Baker, a kiedy przyjechaliśmy tutaj z panem Bakerem, poprosiła, żebyśmy cichutko weszli. Oświadczyła, że w salonie siedzi starsza pani, która nie lubi, gdy się jej przeszkadza w oglądaniu telewizji. Drzwi były zamknięte, więc na palcach udaliśmy się na górę, do sypialni, w której czekała już na nas pani Maher.

- Starsza pani w salonie! - wybuchła Kate. - To była Bessie!

- W takim razie kto znajdował się w sypialni? - zapytał ksiądz Ferris. W korytarzu rozległy się kroki nadchodzących Bakerów.

- Może spytamy Vica? - podsunęła Elwira, gdy tamci pojawili się w salonie. - Vic, kim była kobieta, którą przebrałeś w koszulę Bessie w różowe kwiatki? Aktorką? Oszustką, waszą współpracowniczką?

Baker otworzył usta, lecz Elwira nie dopuściła go do głosu.

- Mam tu zdjęcia Bessie zrobione parę tygodni temu, w Święto Dziękczynienia. Ładne, ostre zbliżenia. - Podała albumik Gordonom. - Proszę im powiedzieć to samo, co mnie.

- Z całą pewnością to nie ta kobieta, która leżała w łóżku i podpisała testament - oznajmił Jim Gordon, oglądając fotografię.

- Owszem, jest między nimi podobieństwo, ale to z pewnością ktoś inny - poparła go żona, energicznie kręcąc głową.

- Opowiedz resztę, Eileen - zachęciła ją Elwira.

- Kiedy zeszliśmy na dół, drzwi od salonu się otworzyły i zauważyliśmy starszą kobietę siedzącą w tym fotelu. - Pani Gordon ruchem ręki wskazała fotel Bessie. - Nie odwróciła się, ale widziałam jej profil. Nie ulega wątpliwości, że to kobieta ze świątecznych fotografii Elwiry.

- Chcesz usłyszeć coś jeszcze, Vic, stary przyjacielu? - spytał Willy. - Jutro rano Kate wystąpi do sądu o podważenie testamentu, Gordonowie opowiedzą, jak to się odbyło i za parę dni zapadnie na was wyrok, oszuści.

- Chyba musimy zmienić mieszkanie - odezwał się szybko Vic Baker miłym głosem. - Kate, w związku z tym nieporozumieniem natychmiast się stąd wyprowadzamy. Chodźmy, Lindo, trzeba błyskawicznie się spakować.

- Krzyżyk na drogę. Mam nadzieję, że oboje traficie za kratki! - zawołała za nimi Elwira.

- Kazałaś mi przynieść szampana - zwrócił się parę minut później ksiądz

Ferris do Elwiry, otwierając butelkę w jadalni. - Teraz już wiem, dlaczego.

Siostra Kordelia i Kate powoli zaczynały rozumieć, co to oznacza.

- Czyli jednak nie będę musiała opuszczać swojego domu. - Gospodyni prawie zachłysnęła się z radości.

- A ja moich dzieci! - zawołała uszczęśliwiona Kordelia. - Chwała Panu!

- I Elwirze - dodała siostra Maeve Maria, podnosząc kieliszek. Po twarzy księdza przemknął cień.

- Gdybyś jeszcze tylko zdołała wyjaśnić tajemnicę zaginionego dziecka i odzyskała ukradziony kielich biskupa, Elwiro...

- Moja żona zawsze mówi: „walczę do końca” - oznajmił z dumą Willy. - Ja zaś, jak zwykle, stawiam na nią.

## Rozdział 27

Zgodnie z obietnicą w poniedziałek po południu Lenny odebrał Stellinę ze szkoły.

- Gwiazdko - mówił szybko - nonna właśnie źle się poczuła i przyszedł do niej lekarz. Posłał po karetkę. Możliwe, że przez jakiś czas babcia zostanie w szpitalu, ale wyzdrowieje. Obiecuję.

- Na pewno? - spytała dziewczynka, patrząc mu pytająco w oczy.

- Jasne.

Stellina pobiegła pierwsza i skręciwszy za róg zobaczyła, jak sanitariusze wyprowadzają z domu wózek i pchają go w stronę karetki. Z bijącym sercem popędziła w tamtą stronę.

- Babuniu! Nonna! - krzyczała, wyciągając ręce do ukochanej opiekunki. Lilly Maldonado próbowała się uśmiechnąć.

- Stellino, moje serce nie sprawuje się najlepiej, ale lekarze sobie z tym poradzą, a wtedy wrócę. Teraz umyj ręce i buzię, uczesz się i włóż strój

Maryi. Nie możesz się spóźnić na jasełka. Tatuś zanieśe twoje rzeczy do pani

Nuñez, będziesz u niej nocować do mojego powrotu.

- Nonna, Rajid, chłopiec grający trzeciego króla - szepnęła Stellina - stłukł duży słoć, w którym miał podać mirrę. Czy mogę mu pożyczyć kielich po mojej mamie? To święty kielich. Sama mówiłaś, że należał do jej wujka, księdza. Proszę... Będę na niego uważać. Obiecuję.

- Musimy już jechać, malutka - powiedział pielęgniarz, odciągając Stellinę od wózka. - Będziesz mogła odwiedzić babcie w szpitalu niedaleko stąd, przy

Sto Trzynastej.

W oczach dziewczynki błysnęły łzy.

- Mam modlitwę, która spełni się tylko wtedy, jeśli przyniosę kielich. Babciu, proszę, powiedz, że pozwalasz.

- Co to za modlitwa, bambina?

Lilly mówiła z trudem, zaczynał już działać środek przeciwbólowy.

- Żeby wróciła moja mama - odrzekła Gwiazdka. Po policzkach płynęły jej łzy.

- Ach, Stellino, bambina, oby tylko się zjawiała, zanim umrę. Tak, tak, weź kielich, ale uważaj, żeby tata tego nie widział, bo może ci zabronić.

- Dziękuję, babuniu. A jutro przyjdę cię odwiedzić, obiecuję. Jeszcze parę chwil i karetka odjechała na sygnale.

- Gwiazdko, musimy się śpieszyć - ponaglał Lenny dziewczynkę.

„Mały Dom” był świątecznie przystrojony - pośrodku sali na piętrze stała choinka, na ścianach umieszczono gałązki świerku, ozdobione łańcuchami. W czasie weekendu wolontariusze postawili w

głębi podest, imitujący scenę. Ktoś jeszcze zawiesił po obu jego stronach stare, aksamitne portierey. Rozstawiono także składane krzesła dla publiczności. Teraz do sali wlewał się rozgadany tłum rodziców i rodzeństwa aktorów.

Elwira zjawiała się wcześniej, żeby pomóc szwagierce i Maeve przy wkładaniu dzieciom kostiumów. Wyłącznie najstraszliwszymi groźbami siostrze Kordelii udało się zachować jaki taki porządek wśród podekscytowanych aktorów. Za dziesięć czwarta, kiedy wszyscy już bardzo się niepokoiли, zjawiała się Stellina.

Elwira szybko wzięła ją za rękę.

- Czy nonna zdążyła cię zobaczyć w tym stroju? - spytała, poprawiając niebieski welon zarzucony na gęste ciemnoblonde loki.

- Nie. Zabrali ją karetką do szpitala - odrzekła cicho dziewczynka. - Tata obiecał, że ją odwiedzę. Czy babcia wyzdrowieje?

- Taką mam nadzieję, kochanie. Ale zaopiekujemy się tobą pod jej nieobecność. Wiesz, jak bardzo się baliśmy, że trzeba będzie zamknąć „Mały Dom”. Stał się jednak cud i możemy nadal go prowadzić - czyli codziennie po lekcjach będziemy się widywać.

Na twarzy Stelliny mimo smutku pojawił się uśmiech.

- Och, tak się cieszę. Jestem tu szczęśliwa.

- A teraz biegnij i stań obok świętego Józefa. Potrzytać ci tę paczkę? Elwira sięgnęła po plastikową torbę, którą ścisnęła Stellina.

- Nie, dziękuję. Muszę dać mój kielich Rajidowi. Siostra Kordelia pozwoliła mi go przynieść. Dziękuję, pani Meehan.

Pobiegła do pozostałych dzieci, a Elwira odprowadziła ją wzrokiem. Co takiego ma w sobie to dziecko? Kogoś mi przypomina, ale kogo? - zastanawiała się, zajmując miejsce.

Światła przygasły. Zaczęło się przedstawienie.

- Po prostu cudowne! - brzmiał najczęściej powtarzany komentarz, gdy już przebrzmiały ostatnie dźwięki „Najdłuższej nocy” i widownia zaczęła klaskać. W sali błyskały flesze, gdy rodzice usiłowali utrwalić tę chwilę. Nagle Elwira pociągnęła za rękaw siostrę Maeve Marię.

- Maeve, zrób mi zbliżenia Stelliny - poprosiła. - I to jak najwięcej.

- Chętnie - zgodziła się zakonnica. - Była idealną Maryją. A kiedy śpiewała, łzy napłynęły mi do oczu. Włożyła w kolędę tyle uczucia.

- To prawda. Ta dziewczynka ma w sobie muzykę.

W głowie Elwiry pojawiło się szalone, nieprawdopodobne przypuszczenie, a choć nawet przed sobą nie chciała się do tego przyznawać, coraz bardziej przeradzało się ono w pewność. Trzeba zacząć od sprawdzenia metryki tej małej, pomyślała, ale, o Boże, czy to możliwe?

- Udało mi się zrobić parę ładnych ujęć - oznajmiła parę minut później Maeve, wręczając Elwirze zdjęcia z polaroidu. - Za chwilę kolory uzyskają pełne nasycenie. Bardzo podoba mi się to, na którym Rajid oddaje Stellinie jej srebrny puchar.

Jej srebrny puchar? Nie! Jej kielich mszalny! - pomyślała Elwira. Niewykluczone, że się mylisz, mitygowała się w duchu. Ale przynajmniej jedno można udowodnić od razu.

- Maeve, jeśli masz jeszcze kliszę, zrób parę zbliżeń samego pucharu. Poproś Stellinę, żeby go podniosła do góry.



- Elwiro, chodź! - ponaglał Willy. - Miałaś mi podawać prezenty dla dzieci.

- Maeve, zrób te zbliżenia i poczekaj, aż je od ciebie wezmę - poleciła zakonnicy. - Tylko nie wypuść ich z rąk.

Szybko podeszła do męża. Prezenty leżały na stole za nią.

- Doskonale, Święty Mikołaju, to jest dla José - oznajmiła serdecznie, kiedy chłopczyk niecierpliwie sięgał po upominek.

Willy otoczył go ramieniem.

- Zaczekaj, José, zaraz przyjdzie siostra Maeve i zrobi nam wspólne zdjęcie.

Elwira wprost trzęsła się z niecierpliwości, natychmiast chciała sprawdzić słuszność swoich podejrzeń, ale łatwiej było pomóc mężowi w rozdawaniu prezentów, niż szukać teraz kogoś, kto by ją wyręczył.

Tymczasem Kordelia wraz z wolontariuszami częstowała zebranych napojami i łakociami, choć część gości już się rozchodziła. Rozczarowana Elwira zauważyła, że Gracie Nuñez właśnie kieruje się do wyjścia razem z Jerryem i Stellina.

Skinęła ręką, a kobieta szybko podeszła.

- Dokąd zabierasz Stellinę? - zapytała Elwira.

- Podrzucę małą do domu - wyjaśniła Gracie.

- Jej ojciec przyprowadzi ją do mnie na noc. Najpierw jednak chciał zjeść z nią kolację po powrocie z pracy. Muszę wpaść na chwilę do siostry, ale mówił, że przyjdzie wcześniej. Umiesz się zamknąć w mieszkaniu, prawda, Stellino?

- Tak, umiem. Och, mam nadzieję, że tata powie mi, jak się czuje babcia - odrzekła z powagą dziewczynka.

Po dziesięciu minutach rozdano już wszystkie prezenty i zrobiono wszystkie zdjęcia. Elwira podbiegła do siostry Maeve Marii i wzięła odbitki. Potem chwyciła płaszcz.

- Co się stało? - spytał niewyraźnie Willy, bo przeszkadzała mu broda

Świętego Mikołaja.

- Muszę pokazać księdzu Ferrisowi kilka fotografii - rzuciła przez ramię. - Tam się spotkamy.

- Proboszcz wyszedł, ale nie na długo - usłyszała Elwira na plebanii. Czekala niecierpliwie, krążąc po saloniku. Willy i ksiądz zjawili się równocześnie, pół godziny później. Duchowny powitał ją uśmiechem.

- Co za miła niespodzianka, Elwiro - powiedział radośnie. Nie marnowała słów i od razu podała mu zdjęcia.

- Proszę na nie spojrzeć, księżę proboszczu.

Uważnie popatrzył na fotografię Stelliny odbierającej w czasie przedstawienia puchar z rąk Rajida, a potem na zbliżenie samego kielicha.

- Elwiro - odezwał się cicho - wiesz, co to jest?

- Tak sędzę. To kielich biskupa Santoriego. A wie ksiądz, kim jest ta dziewczynka?

Proboszcz zastanowił się chwilę.

- Przypuszczam, że owym niemowlęciem, które zostawiono pod drzwiami plebanii wtedy, gdy został skradziony nasz kielich.



## Rozdział 28

Pani Nuñez odprowadziła Stellinę do drzwi mieszkania jej babci i ojca. Cierpliwie jak kwoka odczekała, aż dziewczynka weszła do środka i nasłuchiwała, czy szcęknięta zasuwka.

- Później do ciebie zajrzę, kochanie! - zawołała z korytarza i poszła, spokojna, że Stellina nie wpuści nikogo z wyjątkiem ojca.

W mieszkaniu panowały cisza i mrok. Stellina natychmiast dostrzegła różnicę: bez babci dom wydawał się smutny i ponury. Przeszła po pokojach i zapaliła światło, w nadziei, że to go ożywi. W sypialni Lilly zaczęła zdejmować strój Maryi, ale się powstrzymała. Babcia tak chciała ją zobaczyć w kostiumie. Może tatuś zabierze ją do szpitala?

Wyjęła z reklamówki srebrny kielich i postawiła go na łóżku. Trzymając go w dłoniach, nie czuła się taka samotna. Nigdy jeszcze Stellina nie wróciła do pustego domu. Zawsze czekała na nią babcia.

O siódmej dziewczynka usłyszała stukot szybkich kroków. To na pewno nie tata, pomyślała. On nigdy nie biega.

Ale wtedy rozległo się łomotanie do drzwi.

- Gwiazdko, otwieraj! Otwieraj! - krzyczał rozpaczliwie.

Ledwo usłyszał szcęk zamka, nacisnął klamkę i wpadł do środka. Wszystko zostało ukartowane! Zastawili na niego pułapkę! Powinien był to przewidzieć - wściekał się na siebie w duchu. Ten diabelny nowy w grupie okazał się gliną. Lenny uciekł w ostatniej chwili, bo kapnął się, co jest grane, ale teraz na pewno przeszukują cały Fort Lee, a lada chwila sprawdzą mieszkanie. Musiał zaryzykować i przyjść tutaj - fałszywe dokumenty i gotówka leżały w torbie, którą spakował po południu.

Popędził do pokoju i wyciągnął spod łóżka torbę. Stellina ruszyła za nim i stanęła w progu. Lenny obejrzał się; w rękę trzymała kielich. No i dobrze, pomyślał mężczyzna. Chciał się pozbyć tego dowodu przestępstwa z mieszkania. Im szybciej, tym lepiej.

- Idziemy, Gwiazdko - rozkazał. - Spadamy stąd. Nie zabieraj nic, z wyjątkiem kielicha.

Chyba oszalał, biorąc ze sobą dziecko, skoro ściga go policja, ale mała przynosiła mu szczęście, była jego pomyślną gwiazdą.

- Pojedziemy do babci?

- Później, może jutro. Mówiłem, zbieraj się, musimy się śpieszyć.

Chwycił Stellinę za rękę i pognął korytarzem, ciągnąc dziewczynkę za sobą.

Ścisnęła kielich i biegła, usiłując nadążyć za ojcem. Nawet nie zamknął za sobą drzwi; niemal sfrunęli po schodach, przeskakując po jeden, dwa, a wreszcie trzy stopnie, tak że omal nie upadła.

Na ostatnim podeście przed wyjściem Lenny nagle się zatrzymał i nasłuchiwał. Na razie nic,

pomyślał z ulgą. Potrzebuje jeszcze minuty i znajduje się w samochodzie, który wcześniej ukradł, a potem już nikt im nie przeszkodzi.

Prawie dobiegał do drzwi wejściowych, kiedy nagle się otworzyły. Chwycił dziewczynkę, postawił ją przed sobą i udawał, że wyciąga broń.

- Spróbujcie tylko strzelić, a załatwię małą! - zawołał bez przekonania.

Oddziałem dowodził Joe Trący. Nie zamierzał ryzykować życia dziecka, nawet jeśli były to czeze pogróżki.

- Cofnijcie się! - rozkazał ostrożnie. - Przepuście go!

Samochód Lenny'ego stał niewiele ponad metr od wejścia do budynku. Bezradni policjanci patrzyli, jak mężczyzna wlecze dziewczynkę do pojazdu, otwiera drzwiczki od strony kierowcy i wrzuca torbę.

- Wskakuj i przeczolągaj się na drugie siedzenie! - polecił.

Wiedział, że nie mógłby skrzywdzić małej, ale liczył, iż tamci się tego nie domyśla.

Gwiazdka posłuchała, lecz kiedy Lenny wszedł i zatrzasnął drzwiczki, musiał puścić jej rękę, żeby włożyć kluczyki do stacyjki. W jednym ułamku sekundy Stellina otworzyła drzwi od swojej strony i wyskoczyła z wozu. Z kielichem w dłoni i powiewającym welonem popędziła ulicą, gdy policja otoczyła samochód.

Kiedy dziesięć minut później zjawili się Elwira, Willy i ksiądz Ferris, zastali skutego Lenny'ego w radiowozie. Poszli na górę do mieszkania i dowiedzieli się, że dziewczynka zniknęła wraz z kielichem.

Stojąc na progu mieszkania, w którym Stellina spędziła siedem lat życia, opowiedzieli Tracy'emu o kielichu i swoich podejrzeniach, że dziewczynka jest owym zaginionym dzieckiem spod drzwi plebanii.

Jeden z policjantów wyszedł z sypialni Lenny'ego.

- Spójrz, Joe, znaleźliśmy to wetknięte między półkę a ściankę szafy. Joe przeczytał pomiętą kartkę i oddał ją Elwirze.

- To na pewno ta dziewczynka, pani Meehan. Ten list wszystko potwierdza. To kartka, którą matka przypięła do kocyka noworodka.

- Muszę gdzieś zadzwonić - powiedziała Elwira z westchnieniem ulgi - ale nie zrobię tego, dopóki nie odnajdziemy dziecka.

- Przeszukujemy całe miasto - zapewnił ją Trący.

W tej samej chwili zabrzączał jego telefon komórkowy. Joe przez chwilę słuchał, potem szeroko się uśmiechnął.

- Może pani śmiało zadzwonić - zwrócił się do Elwiry. - Odnaleźliśmy naszą małą Świętą Panią. Próbowała dojść aż do szpitala przy Sto

Trzynastej, żeby zobaczyć babcię. Zabierz ją tam - polecił funkcjonariuszowi z drugiej strony słuchawki. - Spotkamy się na miejscu. Zapewne próbuje się pani skontaktować z matką dziecka? - spytał Elwirę, która już sięgnęła po aparat stojący na stoliku.

- Owszem.

Oby Sondra była w hotelu! - modliła się w duchu.

- Pani Lewis zostawiła wiadomość, że wychodzi na kolację z dziadkiem - powiedział

recepjonista. - Przekazać jej wiadomość na pager?

Kiedy dziewczyna zatelefonowała, Elwira powiedziała tylko:

- Najszybciej, jak się da, bierz taksówkę i jedź do szpitala przy Sto Trzynastej.

Detektyw Trący wyjął jej z rąk słuchawkę.

- Proszę nie zawracać sobie głowy taksówką, wysyłam po panią radiowóz. W szpitalu czeka pewna dziewczynka, którą zapewne chce pani zobaczyć.

Czterdzieści minut później Elwira, Willy, ksiądz Ferris oraz Joe Trący spotkali się z Sondrą i jej dziadkiem pod drzwiami sali na oddziale kardiologicznym.

- Jest w środku z kobietą, która ją wychowała - szepnęła Elwira. - O niczym jej nie powiedzieliśmy. To twoje zadanie.

Blada jak ściana, drżąca Sondra pchnęła drzwi.

Dziewczynka stała w nogach łóżka, zwrócona do nich profilem. Delikatne światło tworzyło aureolę wokół lśniących ciemnoblond włosów, które wymknęły się spod błękitnego welonu.

- Dobrze, że już nie śpisz, babciu i że lepiej się czujesz - mówiła. -

Przyprowadził mnie tu pan policjant. Chciałam, żebyś mnie zobaczyła w tym pięknym stroju. I zobacz, uważałam na kielich mamy. - Pokazała jej srebrny puchar. - Wykorzystaliśmy go w jasełkach i mogłam się pomodlić...o powrót mamy. Sądzisz, że Pan Bóg ją do mnie przyśle?

Sondra ze szlochem podbiegła do dziewczynki, uklękła i chwyciła ją w ramiona.

Na korytarzu Elwira zamknęła drzwi.

- Pewnych chwil nie można z nikim dzielić - oświadczyła zdecydowanie. - Czasem musi wystarczyć świadomość, że jeśli wystarczająco uparcie i mocno w coś się wierzy, nasze pragnienia się ziszczą.

## Epilog

Dwa dni później, dwudziestego trzeciego grudnia, publiczność zgromadziła się licznie w Carnegie Hall na koncercie galowym, który zaszczyliły swym udziałem największe sławy świata muzycznego i który miał się stać również nowojorskim debiutem genialnej młodej skrzypaczki, Sondry Lewis.

W honorowej łązy razem ze Stellina zasiadali Elwira i Willy, dziadek

Sondry, Gary Willis - jej narzeczony, ksiądz Ferris, siostra Kordelia, siostra

Maeve Maria oraz Kate Durkin.

Środkowe miejsce w pierwszym rzędzie zajmowała Stellina - obiekt niezliczonych, pełnych ciekawości spojrzeń. Z błyskiem radości w oczach siedziała w fotelu, cudownie nieświadoma sensacji, jaką wzbudzała wokół.

Od dwóch dni nowojorska prasa rozpisywała się o spotkaniu matki i córki oraz odzyskaniu cudownego kielicha. Ta wzruszająca, ciepła historia idealnie harmonizowała ze świątecznym nastrojem.

Oprócz artykułów drukowano zdjęcia Sondry i Stelliny.

- Nawet ślepy by zauważył, że ta dziewczynka to istny klon swojej matki - oświadczyła Elwira.

- Nie pojmuję, czemu wcześniej tego nie dostrzegłam.

Kiedy prokuratora okręgowego zapytano, czy wystąpi o ukaranie Sondry za porzucenie dziecka, odpowiedział:

- Wbrew pozorom nie jestem aż takim pozbawionym serca draniem, za jakiego uważają mnie moi przeciwnicy polityczni, dlatego nie oskarżę tej młodej kobiety. Czy popełniła błąd, biegnąc do budki telefonicznej, zamiast zadzwonić do drzwi plebanii? Tak, popełniła. Ale czy ta osiemnastoletnia dziewczyna zrobiła, co w jej mocy, by zapewnić dziecku dobry dom? Jasne, że tak.

Burmistrz zaś skomentował ową wypowiedź stróża prawa tymi słowami:

- Gdyby ją skazał, zamieniłbym jego życie w piekło.

Zabrzmiały oklaski, gdy na podium wstąpił dyrygent. Światła przygasły i rozpoczął się wieczór nieznanej muzyki.

Elwira, która wspaniale prezentowała się w ciemnozielonej aksamitnej sukni wieczorowej, uścisnęła męża za rękę.

Godzinę później na scenie pojawiła się Sondra, powitana burzą oklasków.

- Jak by powiedział Willy - szepnął ksiądz Ferris, pochylając się do Elwiry - znowu ci się udało. Nigdy nie zapomnę, że to dzięki tobie odzyskaliśmy kielich biskupa. Szkoda, że przepadł brylant, ale najważniejszy jest sam kielich.

- Willy'emu też należą się podziękowania - odrzekła cichuteńko. - Gdyby nie zostawił na fortepianie otwartych nut „Najdłuższej nocy”, Sondra nigdy by nie zanuciła tej kolędy. To mi podsunęło trop. A kiedy usłyszałam, jak w czasie jasełek śpiewa ją Stellina, nie miałam już cienia wątpliwości.

Sondra uniosła smyczek; wszyscy usadowili się wygodniej, by posłuchać.

- Spójrz na małą - szepnęła jeszcze Elwira do Willy'ego, pokazując Stellinę.

Gra matki wprost oczarowała dziewczynkę. Na jej twarzyczce malował się absolutny zachwyt.

Kiedy nadeszła pora na bis i Sondra zaczęła grać „Najdłuższą noc”, podniosła wzrok ku łożu, w której siedziała córka. Jedynie najbliższe otoczenie słyszało, że Stellina zaczęła śpiewać. Nie ulegało wątpliwości, że matka i córka grają i śpiewają tylko dla siebie i o sobie. Dla nich dwóch cały świat przestał istnieć.

Kiedy przebrzmiały ostatnie dźwięki, na sali nadal panowała cisza. Potem

Willy pochylił się do żony i szepnął:

- Wielka szkoda, że nie przyniosłem swoich nut, prawda, kochanie? Przydałby się im akompaniament fortepianu. A ty jak sądzisz?